Wydawnictwa rok VI
Dnia 1 lipca 1928 r.

Nr. 252

Bezpłatny dodatek niedzielny dziennika „Głos Prawdy"

GŁOS PRAWDY

Organ Radykalizmu Polskiego
TYGODNIK

Od Polski Wyzwolonej do Polski Odrodzonej

W dzisiejszym wydaniu dziennika „Głos Prawdy" znajdą czytelnicy odpowiedź Marszałka Piłsudskiego na pytanie:

DLACZEGO PRZESTAŁEM BYĆ SZEFEM RZĄDU ?

w specjalnym wywiadzie udzielonym „Głosowi Prawdy" przez Marszałka Piłsudskiego.

„Strzały w parlamencie, trafiły w Konstytucję"

Redakcja: Warszawa, ul. Szpitalna 1, tel. 282-54, Administracja: Warszawa, ul. Nowy-Świat 22, tel. 823-62

NIEDYSKRECJE

REKONSTRUKCJA GABINETU ZOSTAŁA DOKONANA. Zapowiadana przez plotkę, spodziewana powszechnie stała się ciałem w przeciągu kilku właściwie godzin w środę. Wprawdzie dymisja gabinetu została złożona już w poniedziałek, ale wyjaśnienie sytuacji i opublikowanie nastąpiło dopiero w południe. Jak dalece odmienne było ostatnie „przesilenie" gabinetowe od poprzednich, świadczy fakt, że nikt za wyjątkiem najbliższych współpracowników Marszałka Piłsudskiego i Domu Prezydenta o niem nie był poinformowany. Zmiana bowiem rządu, na którego czele stał Marszałek Piłsudski, mogła się odbić fatalnie na fluktuacji giełdowej — a to ze wszech miar było niepożądanem. Zbyt wiele kosztowało nas każde przesilenie, by i w tym, tak wyjątkowym czasie narażać polskie papiery na giełdach światowych choćby na chwilowe niebezpieczeństwo spadku ich wartości. Zachowanie dyskrecji co do zmiany gabinetu miało tę dobrą stronę, że nastrój powszechny w kraju nie uległ zupełnie zamąceniu. Opinja przyjęła zmiany w gabinecie bez zdenerwowania, towarzyszącego stale każdej rekonstrukcji gabinetów przedmajowych.

***

ZMIANY W SKŁADZIE OSOBOWYM RZĄDU, mające na celu zwiększenie sprawności techniki rządzenia, przyjęte zostały przez opinję kraju z zupełnym spokojem, dającym miarę zaufania, jakie Polska pokłada w dziele, dokonywanem pod auspicjami Marszałka Piłsudskiego przez ludzi, z jego ramienia do rządzenia powołanych. Wejście do Rządu dr. K. Świtalskiego, na stanowisko ministra oświaty zapewnia temu resortowi energiczną, świadomą celu i środków rękę, wysokie ideowe wartości i rozmach. Po raz pierwszy może resort ten otrzymał ministra, który nie będzie się błąkał poomacku w labiryncie zagadnień nowoczesnego szkolnictwa, lecz na zasadzie znajomości rzeczy i poczucia rzeczywistości znajdzie prostą drogę produktywnej pracy. Ministerstwo Komunikacji otrzymuje również energicznego o szerokim horyzoncie kierownika. Niespodzianką jest bezwątpienia utrzymanie w gabinecie min. Meysztowicza i Niezabytowskiego, co do których oddawna spodziewano się innej decyzji w razie zmian w rządzie.

***

POLSKA ZOSTAŁA ZAPROSZONA DO PODPISANIA „PAKTU KELLOGA" wraz z wielkiemi mocarstwami: Wielką Brytanją, Francją, Japonją, Niemcami, Italją oraz Belgją i Czechosłowacją. Ostateczny, uzgodniony z życzeniami Francji i Aglji, tekst projektu amerykańskiego składa się z 3-ch artykułów. Pierwszy zawiera uroczyste potępienie wojny, jako środka rozstrzygania sporów międzynarodowych. W artykule drugim obowiązują się układające się strony załatwić wszelkie konflikty i spory nie inaczej, jak na drodze pokojowej. Najpoważnejszym zaś jest punkt o sankcji, jaką zerwanie układu pociąga za sobą: Państwo — sygnatarjusz, któreby w przyszłości dążyło do takiej ekspansji swych narodowych spraw, iżby grozić one mogły wojną, traci wszelkie korzyści, jakie mu z niniejszego paktu przysługują". Jednocześne jednak pakt antywojenny szanować będzie prawo napadniętego kraju do obrony swych granic. Przyjęcie propozycji amerykańskiego sekretarza stanu spraw zagranicznych przez większe państwa Europy, Azji, Afryki i Australji będzie poza paktem Ligi Narodów i innemi bardziej „partykularnemi" umowami, jeszcze jedną poważną rękojmią, — jakkolwiek, niestety, papierową, — iż widmo wojny przestanie wreszcie grozić ludzkości.

***

„STRZAŁY W PARLAMENCIE TRAFIŁY W KONSTYTUCJĘ" — tak określił doniosłość tragicznych wydarzeń białogrodzkich jeden z przywódców opozycji: Sytuację utrudniła decyzja posłów chorwackich opuszczenia parlamentu i utworzenia własnej reprezentacji w Zagrzebiu. Gdyby do uchwały tej przyłączyli się, jak przewidują, słoweńcy, dalmatczycy i bośniacy, Jugosławja narażona byłaby na poważne powikłania wewnętrzno-polityczne. Dzięki interwencji króla Aleksandra, który umiał swem wysoce taktownem zachowaniem po katastrofie dowieść, że jest nie tylko serbem, lecz królem serbów, chorwatów i słoweńców, który podkreślił, iż korona, jednocząca słowian południowych, stoi ponad waśniami partyjnemi, — chmury wewnętrznej rozterki znikają z horyzontu Jugosławji. Ranny Stefan Radicz w swem orędziu do partji agrarjuszów chorwackich zaleca opozycyjnym deputowanym zrewidowanie swej decyzji wystąpienia z parlamentu. „Mamy zaufanie do naszego ludu i do króla. Naród i król, wierzymy niezłomnie, dopełnią swej historycznej misji" — twierdzi w swem piśmie wódz chorwatów. To też król Aleksander domagać się będzie obecnie rekonstrukcji rządu na bardziej szerokich podstawach i przyciągnięcia większych partyj opozycyjnych do udziału w rządzie. Życzyć należy, aby w Jugosławji jaknajprędzej zapanował pokój wewnętrzny, zwłaszcza w chwili obecnej, gdy zjednoczonemu Królestwu S. H. S. grożą poważne komplikacje międzynarodowe.

***

WIELKIEM ZWYCIĘSTWEM POINCARE'GO jest uchwalona przez izby ustawodawcze stabilizacja franka. Jest to właściwie formalne zatwierdzenie wytworzonej przed dwoma laty sytuacji finansowej. Frank francuski, istniejący od czasów Napoleona, przetrwał trzy rewolucje, wojnę francusko-pruską, komunę paryską, pięciomiljardową kontrybucję 1871 roku, — i nie zawahał się: banknot i złoto na równym stały poziomie. Dopiero wielka wojna europejska, jakkolwiek zwycięska, wpłynęła na dewaluację franka papierowego. Kres temu kładzie doniosła reforma finansowa Poincare'go: nowa ustawa stabilizacyjna, określając wartość zdewaluowanego franka na blisko 1/5 jego wartości nominalnej. Wprowadza jednocześnie nieograniczoną wymianę banknotów na złoto. Jest to wielki krok naprzód nawet w porównaniu z okresem przedwojennym, od bimetalizmu bowiem Francja przechodzi do systemu monometalicznego. Zadłużenie skarbu Państwa w Banku Francuskim, wynoszące około 18 i pół miljardów franków, pokryte zostaje częściowo wpływami z pożyczki konwersyjnej, częściowo zaś posiadanem przez Skarb złotem, którego wartość wynosi 4,140 miljonów „dawnych" franków, czyli przeszło 20 miljardów franków obecnych. Powstała nadwyżka na rzecz Skarbu francuskiego stanowić będzie rezerwę pieniężną rządu. — Poważne obawy budzi we Francji przewidywany przez pesymistów wzrost drożyzny w związku ze stabilizacją monetarną, Francja bowiem od kilku lat należy do najtańszych krajów w Europie. Doświadczenie zaś uczy nas, iż we wszystkich państwach, które przechodziły powojenną inflację i dewaluację, natychmiast po wprowadzeniu ustabilizowanej waluty drożyzna wzmagała się niepomiernie. Inaczej zapatruje się na to Poincare, twierdząc, iż skutki stabilizacji, która faktycznie miała miejsce przed dwoma laty, dały się odczuć oddawna; formalne zaś usankcjonowanie tego faktu nie może i nie powinno wpływać na fluktuację cen.

STRZAŁY W SKUPCZYNIE

(Radić o sytuacji. — Żądania opozycji. — Grzech rządu. — Strzały w Skupczynie. — Exodus opozycji. — Drogi naprawy).

Korespondencja własna „Głosu Prawdy“.

WIEDEŃ, 22 czerwca.

W przededniu zabójczych strzałów w Skupczynie zwołał swoim zwyczajem leżący dzisiaj na łożu boleści Radić przedstawicieli prasy białogrodzkiej na konferencję. Sytuacja wymagała rzeczywiście wyjaśnień: z jednej strony rząd, który, trwając uporczywie na bezwzględnem stanowisku, wniósł właśnie do parlamentu nettuńską umowę i opozycję traktował jako quantité negligeable, z drugiej opozycja, silna i namiętna, nie przebierająca w środkach i gotowa do wszystkiego, ażeby przez uniemożliwienie ratyfikacji, znienawidzony rząd zmusić do dymisji. Co więc miało być dalej?

Narady przywódców stronnictw politycznych celem stworzenia jakiegoś modus vivendi między rządem a opozycją nie przyniosły żadnych rezultatów. Więc Radić, który konferencję szefów przedwcześnie opuścił, pośpieszył reprezentantom prasy wyjaśnić, że nie na opozycję, a na rząd spada odpowiedzialność za to, co jest i co będzie. Pierwotnie — mówił Radić — oświadczył minister spraw zagranicznych, że ratyfikacja traktatu nie jest rzeczą pilną i że nastąpi w związku z uregulowaniem ogólnego stosunku między Włochami a Jugosławją, tymczasem w ostatnich dniach rząd wniósł traktat do parlamentu i domaga się ratyfikacji. Jeżeli ma ku temu istotne powody, niech je poda, opozycja je rozważy i odpowiednio do wyniku rozważań do nich się ustosunkuje. I wśród tych zastrzeżeń, którym nie można odmówić pewnej racji, żądał Radić raz dymisji rządu, drugi — tylko cofnięcia przedłożenia o nowym regulaminie w Skupczynie i wyboru nowego prezydjum, pozostając wiernym swej tradycji, niekonsekwencji i nieobliczalności.

Co mógł i powinien był uczynić rząd Vukićewića? Prawda, że rząd rozporządza w parlamencie większością, która wystarcza do uchwalenia ratyfikacji traktatu, prawda, że jest rzeczą niezmiernie trudną mówić z opozycją, która pracuje z pomocą środków obstrukcyjnych, i poddać się w sprawach traktatu kontroli tych, dla których zwalczanie traktatu jest tylko pretekstem do robienia rządowi trudności. Ale z drugiej strony wiele powinien Vukićewićowi i wiernym mu serbskim radykałom dawać do myślenia fakt, że przez związek Radića z niezależnym demokratą Pribićewićem znikł jedyny łącznik między Białogrodem i Zagrzebiem, a opozycja otrzymała w ten sposób charakter regjonalny, szczepowy, może nawet narodowy. W gruncie rzeczy mają Chorwaci jednak dużo racji, gdy nie chcą poddać się dyktatowi Białogrodu i żądają należnego im udziału w rządzie i administracji.

W tem naprężeniu rząd pozostał głuchym i bezczynnym. I stało się, czego nikt nie przewidywał: w Skupczynie, w czasie pełnej wyzwisk i inwektyw wzajemnej walki słownej padły strzały, od których zginęli dwaj posłowie chorwaccy.

Bezpośrednią konsekwencją tego bezprzykładnego w dziejach parlamentaryzmu wypadku jest exodus chłopsko-demokratycznej opozycji z Skupczyny i odjazd do Zagrzebia, gdzie ma się odbyć „następne“ posiedzenie. Z rządem obecnym, jak głosi w proklamacji Pribićewić, opozycja nie chce mieć nic do czynienia, odrzuca rządową subwencję dla zabitych posłów i w obradach Skupczyny weźmie udział po otrzymaniu satysfakcji i równouprawnienia. Sytuacja jest więc bardzo poważna i jest rzeczą charakterystyczną, że nawet umiarkowany „dziennik zagrzebski“ pisze, że obecnie chodzi o uratowanie Chorwatów dla idei państwowej i państwa wogóle, do czego wiedzie rewizja konstytucji, zniesienie hegemonji serbskiej i zapewnienie Chorwatom udziału w administracji. Są to przeszkody, które przy dobrej woli obu stron usunąć można, bo przecie, jeżeli dziesięć lat temu potrafili Serbowie i Chorwaci połączyć się w jedno, wspólne państwo, dlaczegoby dzisiaj nie potrafili utworzyć wspólnego rządu? *F. T.*

OD RARAŃCZY DO KANIOWA

III

Jak się już rzekło, Austrja miała nóż na gardle. Hr. Czernin musiał zawrzeć pokój za wszelką cenę, nawet za cenę pogrzebania resztek polskich sympatyj w stosunku do Austrji. Ta jednak konieczność nie zachodziła, gdyż przy niewielkiej nawet stosunkowo próbie oporu ze strony hr. Czernina—delegacja ukraińska ustąpiłaby ze swego w sprawie chełmszczyzny żądania. Bowiem jak w położeniu bez wyjścia była Austrja — w takiemże samem położeniu byli pp. Lubiński i Sewriuk, przedstawiciele Ukr. Rady Ludowej. W chwili tej bowiem, kiedy pokój brzeski podpisywano — Rada ta już istniała, zniesiona przez bolszewików i mogła tylko restytuować swą władzę przy pomocy bagnetów austrjackich i niemieckich.

O tem zarówno delegaci niemieccy i austrjaccy wiedzieli*), a pohopność z jaką Austrja zgodziła się na żądania Ukraińców — dowodziła tylko, jak bardzo nie można było jej ufać, jak srodze oszukiwani byli i mylili się ci, którzy na lojalnej współpracy i pomocy ze strony państw centralnych organizować chcieli Państwo Polskie.

Nic też dziwnego, że po pierwszem osłupieniu, jakie wywołała w Polsce wiadomość o warunkach pokoju brzeskiego — nastąpiło niezwykłe podniecenie, wyrażające się w powszechnem oburzeniu i protestacji całego polskiego społeczeństwa.

Najsilniej oburzenie to objęło Galicję i część Królestwa Kongresowego przez Austrję okupowanego. Raz z tego powodu, iż w b. Galicji zachował się jeszcze dość duży procent zaufania do Austrji — co przy brutalnem zdarciu zasłony i pokazaniu istotnego Austrji oblicza, tem żywszą i gwałtowniejszą wśród Polaków musiało wywołać reakcję, powtóre, iż wiadomą było

---

*) Gen. M. Hoffman, Wspomnienia.

rzeczą, że Austrji głównie na tym pokoju zależało i że ona pierwsza na warunki ukraińskie się zgodziła.

Fala więc oburzenia objęła cały kraj. W dniu 11 lutego, w którym to dniu dowiedziano się o haniebnych warunkach pokoju brzeskiego — pisma codzienne w Galicji wyszły w czarnych obwódkach, prasa wbrew nakazom cenzury dała wyraz swego stanowiska w ostrych i bezwzględnych artykułach, skierowanych przeciwko Niemcom i Austrji.

Nie skończyło się jednak na protestach li tylko pisemnych. W ciągu trzech lat wojny społeczeństwo polskie nabrało tyle poczucia własnej siły i własnej godności, że fala protestów przybrała takie rozmiary i takie formy, jakich dawno w zbiorowym odruchu w Polsce nie widziano.

Przedewszystkiem zareagowały masy zorganizowane. Kolejarze galicyjscy, mimo iż pracowali na terenie przyfrontowym, na akt brzeskiego pokoju odpowiedzieli manifestacyjnym strejkiem, zatrzymaniem na pewien czas wszelkiego ruchu kolejowego. W tych samych godzinach na terenie Galicji i okupacji austrjackiej został wszelki ruch zarówno w przemyśle jak i handlu przerwany, zaś urzędnicy austrjaccy — polacy, niejednokrotnie mający za sobą po kilkadziesiąt lat służby państwowej, odsyłali do Wiednia ordery i odznaczenia, a inni, na wysokich stojący stanowiskach, podawali się do dymisji.

Fala żywiołowego oburzenia objęła również i wojsko. Oficerowie i szeregowi — Polacy zrzucili swe bojowe odznaczenia, w miastach wieszano je na płotach, miejscach publicznych wśród urągliwych dla Austrji napisów i karykatur, w niektórych miastach, jak np. w Krakowie młodzież uniwersytecka doprowadziła do b. ostrych wystąpień. Zburzono konsulat niemiecki, zdemolowano lojalne w stosunku do Austrji lokale dzienników, wszędzie zrzucano pruskie, austrjackie orły i emblematy.

W przekroju wzburzenia i niespotykanego wśród Polaków podniecenia — wyraźnie i jasno zarysowała się w tych dniach pokoju brzeskiego zasadnicza i niezłomna linja polityczna, przeprowadzana i głoszona przez Józefa Piłsudskiego: *nikomu nie ufać, liczyć tylko na własne siły, na własny wysiłek narodu...*

To przekonanie objęło w dniach lutowych 1918 r. całe polskie społeczeństwo. Przestano się wreszcie oglądać na Austrję i Niemcy, tak jak już dużo wcześniej przestano liczyć na Rosję.

Rachunek własnych sił jedynie był brany pod uwagę....

A rachunek tych sił, siły efektywnej, siły opartej o nabitą broń i żołnierski bagnet — nie był w tej chwili pocieszający. Jeśli bowiem wielką i niezmożoną siłę przedstawiało wtedy społeczeństwo w latach światowej zawieruchy wychowane mocną dłonią Józefa Piłsudskiego, jeśli groźna dla potęgi zaborców powstała w podziemiach armja Polskiej Organizacji Wojskowej — o tyle widomy znak polskich aspiracyj, przedstawiał się dużo mniej imponująco.

Ten widomy narazie znak polskiej siły — to był Polski Korpus Posiłkowy, czyli II Brygada Karpacka.

Wacław Lipiński

POD DOBRĄ WRÓŻBĄ

Truizmem byłoby powtarzanie nie wiem już po raz który, że stosunki między Macierzą a Wychodźtwem nie są obecnie tem, czem być powinny, że Wychodźtwo jest rozbite, rozproszone, zatomizowane niemal i wymagające ujęcia w nowe dobrze obmyślane formy organizacyjne. Każdy krok postawiony w tym kierunku zasługuje na podkreślenie i zarejestrowanie.

Jeżeli pochłonięta swemi własnemi sprawami Macierz nie ma może obecnie czasu i sił do takiego zajęcia się Wychodźtwem bezpośrednio, jakby tego sprawa bezwątpienia wymagała, to może i powinna wykonywać tę czynność przez swe urzędy Poselskie i Konsularne, które przez odpowiednich ludzi obsadzone mogłyby istotnie funkcje te z korzyścią dla obydwu stron zainteresowanych stale i systematycznie spełniać.

Aby to się stało, trzeba, by cały personel zarówno Poselstw jak i Konsulatów składał się nie z urzędników wyłącznie, choćby nie wiem jak wyszkolonych i odrabiających idealnie największą nawet ilość aktów, lecz z uświadomionych obywateli kraju, z ludzi społecznie wyrobionych, odczuwajcych żywo niedostatki i potrzeby licznej rzeszy oddanych im pod opiekę wychodźców. Trzeba, aby stosunki między urzędami państwowemi a ludem wychodźczym nie ograniczały się do spraw, które jedynie w obrębie biura załatwić można, lecz aby obejmowały całokształt życia coraz bardziej różniczkującego się, coraz bardziej złożonego, coraz bardziej wikłającego się z przyczyn natury zarówno politycznej, jak gospodarczej, lub kulturalnej. Trzeba, aby urzędnicy państwowi posiadali pełne zaufanie Wychodźtwa, a co więcej jego sympatję, na którą trzeba sobie zasłużyć, dzieląc niejako bóle i troski codzienne licznej rzeszy wychodźczej, która prawdziwie życzliwej opieki i pomocy potrzebuje, która prace dla swego dobra należycie ocenić i wdzięczność za nią okazać umie i potrafi.

Lecz obok niedoli i smutków wychodźtwo posiada także chwile radości i wesela i te również z niem dzielić należy: w takich chwilach urzędnik nawet na wysokiem stanowisku powinien być tylko człowiekiem i towarzyszem zabawy, podnosząc swem uczestnictwem jej poziom i nadając ton sfer kulturalnych i ogładzonych.

Właśnie w Lipsku postulat powyższy został zrealizowany, gdyż nietylko kierownik placówki, ale i cały personel bierze żywy osobisty udział w życiu społecznem kolonji polskiej, czego dowodem był obchód 27 rocznicy istnienia lipskiego „Sokoła", w którym urzędnicy Konsulatu już nie tylko w charakterze urzędowym wzięli czynny udział.

Prezes druh Witkowski dał w swem przemówieniu rzut oka na rozwój „Sokoła" lipskiego. Następnie wręczono prez. „Komitetu Opieki Społecznej" druhowi Podsadzie z tytułu 25-letniej pracy szkolnej dyplom i upominek.

Ale zebranie dość liczne, w którem uczestniczyła żona Konsula Generalnego p. Zofja Adamkiewiczowa, miało jeszcze inny charakter.

Od kilku tygodni zaledwie przyjechał z Gdańska p. Wice-Konsul Wołowski, który pomimo krótkiego pobytu w tem nowem środowisku zdołał już wejść w życie kolonji polskiej w Lipsku, zapoznać się z nią i zetknąć bli-

żej. Przy sposobności obchodu sokolego odbyło się uroczyste powitanie nowego przedstawiciela Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej przez przedstawicieli różnych organizacyj miejscowych. Przemawiali: Podsada imieniem „Komitetu Opieki Społecznej", Zvla imieniem „Związku Emigrantów", Grzesik imieniem P. P. S., Kurzawa imieniem „Związku Polaków", wreszcie Witkowski imieniem „Sokoła".

Na uwagę i podkreślenie zasługują tutaj dwa momenty: jednomyślność kilku organizacyj stojących zasadniczo na odmiennych stanowiskach społeczno-politycznych, ale akcentujących przy tej sposobności wysokie poczucie państwowości polskiej, jakoteż prawdziwie szczery i serdeczny ton, jakim przedstawiciele tych różnych organizacyj witali w swem gronie p. Wice-Konsula Wołowskiego, mając nadzieję zyskać w nim przyjaciela i orędownika swych praw, obrońcę i doradcę w licznych potrzebach życia codziennego. Wszyscy okazali jaknajdalej idącą lojalność i gotowość współpracy i współdziałania.

P. Wice-Konsul Wołowski w swej krótkiej, treściwej odpowiedzi wyraził swe podziękowanie za tak życzliwe przyjęcie, uważając je niejako za zadatek na rachunek przyszłej wspólnej pracy dla dobra kolonji polskiej w Lipsku. Zaznaczył jedną z przykrych stron zawodu, mianowicie fakt, że gdy się jest przez dłuższy czas na jednem miejscu i już zrośnie z otoczeniem nagle otrzymuje się rozkaz przeniesienia się na inne miejsce, gdzie wskutek nieznajomości stosunków i ludzi, trudności, zawsze nieuniknione, stają się lub wydają większe, niż są istotnie. Te trudności usunięto przez życzliwe ustosunkowanie się do jego osoby na samym wstępie do nowej pracy, ułatwiając mu zbliżenie do Wychodźtwa i nawiązanie bliższych stosunków osobistych.

Ujmujący sposób obycia, cechujący p. Wice-Konsula Wołowskiego, dopełnił reszty, stwarzając ciepły i serdeczny nastrój, łatwy zresztą do wywołania w atmosferze przez całą dotychczasową działalność Konsulatu Lipskiego wypracowaną i stale podtrzymywaną.

Wojciech Szukiewicz.

GENEWSKIE OKRUCHY

W grudniu ubiegłego roku po dramatycznej rozprawie genewskiej wrócił wielki premjer małego państwa do Kowna w triumfie: w Genewie, podając swą nieszczerą rękę Marszałkowi Piłsudskiemu, oświadczyć wprawdzie musiał, że Litwa kończy wojnę, której ani prowadziła, ani byłaby w stanie prowadzić, i zobowiązać się do uregulowania sąsiedzkich spraw w duchu pokoju i zgody, ale w Kownie powołać się mógł na jeden ustęp decyzji Rady, w którym jest powiedziane, że Rada nie zabiera głosu w sprawie, w której obie strony, polska i litewska, różnego są zdania. Stąd wyciągnął p. Waldemaras wniosek, który właśnie był podkładem do bajki o triumfie Litwy, jej premjera w Genewie, że mianowicie Rada Ligi uważa kwestję wileńską za sporną i w tym względzie podziela... litewski punkt widzenia. Konsekwencją tej interpretacji w praktyce było proklamowanie Wilna, jako stolicy państwa litewskiego.

Zbędnem wydaje się udowadniać, jak dalece teorytyczny i praktyczny wniosek p. Waldemarasa gwałcił prawdę i rzeczywistość. Jako owoc ciężkich pertraktacyj, w których Polska okazała względem Litwy maksimum cierpliwości, jaka cechowała zresztą litewską politykę Polski od czasu poczęcia obu państw, wspomniany wyżej ustęp genewskiej decyzji, włączony do niej za zgodą Polski, miał mieć i posiada istotnie wedle intencyj Rady Ligi tylko platoniczne znaczenie. Miał być tylko aktem grzeczności i przysługi, której rzekomo tak bardzo potrzebował kowieński dyktator, ażeby litewskiej opinji publicznej umożliwić stawienie konieczności zaprzestania owej figlarnej wojny z Polską.

Ale ten akt grzeczności lub, jeżeli kto woli, kompromis, posiadał także odwrotną stronę. Wyłączony z całokształtu kwestji wileńskiej od czasów powstania, aż po dzień dzisiejszy, izolowany od genewskich pertraktacyj, nastrojów i komentarzy dopuszcza istotnie możliwość, jeżeli nie litewskiej, to zbliżonej do niej interpretacji. I z tego punktu widzenia, z punktu widzenia przyszłych teotytycznych perypetyj, jakie niewątpliwie czekają wileńską sprawę, niemal dobrze się stało, że p. Waldemaras pośpieszył się z realizacją swojej interpretacji. Bowiem Rada Ligi Narodów nie przywołała wprawdzie, jakby w interesie sprawy i Jej samej spodziewaćby się należało, p. Waldemarasa do porządku stwierdzeniem, że kwestia wileńska raz na zawsze została załatwiona, za to p. Chamberlain, jako jeden z współtwórców grudniowej rezolucji, proklamowanie miasta, należącego prawnie i faktycznie do Polski, stolicą Litwy, nazwał aktem prowokacji, a stały sprawozdawca polsko litewski p. Beelarts van Blokland oświadczył, co następuje:

„W grudniowej rezolucji Rada Ligi Narodów, mając przed oczyma trudności, które stają na drodze do porozumienia między dwoma państwami, oświadczyła, że, zalecając obu rządom rokowania, nie ma zamiaru ani poruszać, ani opiniować spraw, co do których obie strony mają różne zdania. Żadną miarą nie chciała przez to powiedzieć, że jednej ze stron wolno teraz czynić zarządzenia, które mogłyby utrudnić rokowania. Strona, którąby uczyniła podobne zarządzenia znalazłaby się w niesłusznej sytuacji w stosunku do Rady i świata".

A więc Rada Ligi uważa, że sprawa wileńska jest nie objektywnie sporną, lecz przedmiotem rozbieżnych subjektywnych opinij, co stanowi dopełnienie grudniowej rezolucji i oznacza potwierdzenie jej polskiej interpretacji.

***

Wprowadzana systematycznie w błąd przez rząd i inne czynniki miarodajne, opinja publiczna Niemiec ze zdenerwowaniem, ale i pewną nadzieją czekała na decyzję Rady w sprawach mniejszościowych, które stały na dziennym porządku ostatniej sesji. Sprawa szkół niemieckich na naszym Śląsku powędrowała na życzenie samego p. Stresemanna do Hagi i, aczkolwiek wyrok haski, jak na dłoni wykazał słuszność polskiej tezy w prasie niemieckiej, był on komentowany, jako bezwzględny sukces niemiecki, mimo, że głosował przeciw niemu w Hadze sędzia niemiecki, p. Schnecking. Ponadto interesów niemieckich miał tym razem bronić p. Schubert, silny człowiek Aussenamtu i, w przeciwieństwie do p. Stresemanna, minister w zbroji i mąż zaufania deutsch nacjonałów.

Że optymizmu tego nie podzielał rząd, jest rzeczą oczywistą, przeciwnie, rząd słusznie oczekiwał klęski. Taktyka Niemców w sprawie mniejszości niemieckich, jako pomocniczego instrumentu ogólnej polityki w stosunku do Polski, polegała wedle ich własnego publicznego wyznania, na ciągłem molestowaniu Ligi Narodów skargami i, co było głównym celem tych skarg, mobilizowaniu opinji publicznej świata przeciw Polsce. A wyrok haski groził definitywnem załatwieniem sprawy szkół mniejszościowych na Śląsku...

W sukurs Niemców przyszła — ktoby przypuścił — Albanja, która, powołując się na znany § 11 statutu Ligi, wniosła skargę przed Radę przeciw Grecji za rzekome prześladowania mniejszości albańskiej. Chodziło więc, mówiąc jasno, o wypróbowanie tego niespokojnego paragrafu dla tych i podobnych spraw.

Próba wypadła na całej linji niepomyślnie. P. Zaleski, jako sprawozdawca Rady w tej kwestji, tak autentycznie i bezapelacyjnie interpretował § 11: „Powołać się nań wolno tylko w szczególnie ważnych sprawach, mianowicie, gdy zdarzą się wypadki, które rzeczywiście i stotnie zagrażają utrzymaniu pokoju między narodami i wzburzają uczucia narodowe. W zwykłych warunkach powoływanie się na § 11 mogłyby wywołać niebezpieczeństwa, których traktaty chcą uniknąć.

Jeżeli do tej autorytatywnej interpretacji dołączy się znany z pism codziennych wynik sporu o szkoły górnośląskie, który jest ukoronowaniem długiej, konkretnej i żelaznej walki o prawa polskich dzieci w polskiem państwie, można być z owoców najnowszej kampanji genewskiej zadowolonym.

F. Tarnawski.

„GŁOS PRAWDY" LITERACKI

POD REDAKCJĄ J. KADEN-BANDROWSKIEGO

DEKLARACJA ZWIĄZKU ZAWODOWEGO LITERATÓW POLSKICH W WILNIE

Zarząd Związku Zawodowego Literatów Polskich w Wilnie na posiedzeniu w dniu 19 czerwca 1928 r. postanowił jednomyślnie zgłosić akces do ogłoszonego w pismach warszawskich „Orędzia pisarzy w sprawie Akademji Literatury", popierając bez zastrzeżeń zapoczątkowaną przez Stefana Żeromskiego myśl utworzenia Akademji Literatury Polskiej, a wypowiadając się przeciwko pomysłowi Izby Literackiej.

Prosimy o zakomunikowanie tego postanowienia odpowiednim instytucjom oraz o opublikowanie go w prasie.

Zarząd Związku Zawodowego Literatów Polskich w Wilnie:

St. Pigoń Prezes. *A. Romer-Ochenkowska* Wiceprezes

Witold Hulewicz. Sekretarz

O GENJALNYM CZYTELNIKU

O genjalnych i niegenjalnych poetach napisano już całe bibljoteki, o genjalnym czytelniku dotąd nie pomyślano, chociaż czytelnik mógłby o sobie powiedzieć:

— Bóg mi powierzył honor poety.

Poezja jest zjawiskiem społecznem: niema wieszcza bez słuchacza. Tedy czas najwyższy pomyśleć o czytelniku genjalnym, aby widział, że się o nim wie, że się go szanuje i kocha. Genjalni poeci rodzą się tylko tam, gdzie naprzód narodziło się dość genjalnych czytelników. Aby od razu było jasno i wyraźnie powiedziane o co mi chodzi, służę obrazkiem z życia dwóch czytelników: sensatyka i flegmatyka. Są to typy klasyczne, mogące służyć jako ilustracja.

W pokoiku szpitalnym leży na łóżku młodzieniec dotknięty ciężką neurastenją. Sierpniowe popołudnie, niebo jak chaber, słońce zlewa na ziemię złoto i żar... Młodzieniec leży w cienistym pokoiku i czyta „Faraona" Prusa. Jest gorąco, zanosi się na burzę. Czytelnik towarzyszy młodemu Ramzesowi w jego wycieczce na pustynię Libijską. Wieje gorący samum, idzie śmierć. Duszno, gorąco, nieznośnie. Wielbłądy i konie przypadają do ziemi, aby wchłonąć resztki tlenu. Neurastenik przeżywa te męki konania w fali zabójczego, gorącego samumu i zaczyna się dusić. Rzucił książkę, zrywa z piersi kołdrę, woła, dzwoni na służbę. Przybiega pielęgniarka, dowiaduje się o przyczynie ataku nerwowego i wybiega z pokoiku. Po chwili wraca, ale nie z bromem, walerjaną, kompresem... Niesie Fritjofa Nansena „Śród lodów północy", siada na krześle przy łóżku i zaczyna czytać o 40-stopniowym mrozie i o świszczącym wichrze, przesyconym podbiegunowym najczystszym tlenem. Kongestje mijają, duszność znika, pacjentowi robi się chłodno, sięga po kołdrę, zaczyna szczękać zębami. Pielęgniarka oddala się z życzliwym uśmiechem, pacjent sięga po Prusa, aby się trochę rozgrzać. Opowiadam fakt z życia.

To się powtarza. Genjalny poeta, podobnie jak hypnotyzer, potrzebuje predysponowanych medjów. Zróżnicowanie jest tu olbrzymie. Byron, Słowacki i Heine razem i jednocześnie nic nie wskórają u czytelników Mniszkówny, a czytelnik Staśka spogląda na Valéry'ego lub Jesienina jak na żałosnych idjotów. Gogol opowiada o jednym czytelniku, że „miał nawet szlachetny pociąg ku oświacie, to jest czytaniu ksią-

żek, nad których treścią się nie głowił. Było mu zgoła wszystko jedno: przygody zakochanego bohatera, poprostu elementarz albo książka do nabożeństwa, — wszystko czytał z jednakiem zainteresowaniem. Gdyby mu ktoś podsunął podręcznik chemji, to i od niego nie odwróciłby się. Podobało mu się nie to, o czem czytał, ale samoż czytanie, albo raczej czynność odczytywania, że ci, panie tego, z liter układają się wiecznie jakieś takie słowa, a niejedno to i sam djabeł nie wie, co znaczy...“

O innym czytelniku, właśnie o czytelniku genjalnym, opowiada Słowacki.

„...myślisz, że to sam poeta roi,
Skrzy się, i błyska, i leci... On stoi —
Ty sam te wiersze niesiesz w kraj marzenia,
W tej mgle twych własnych myśli tęcza świta,
W tych dumkach twoje latają westchnienia;
Potem z tych wszystkich wierszy, dumań-kwita!
Potem trzy wiersze Danta, pełne cienia,
Ale rozumu serce twoje chwyta,
Waży, rozbiera. A prawdziwa lekcja,
Która poezji uczy, jest dyssekcja“.

Genjalny poeta mówi tu o genjalnym czytelniku tak jasno, że słów tych komentować nie trzeba. Poeta jest suflerem, czytelnik aktorem, sceną i widownią. Łzy czytelników poezyj są zjawiskiem znanem i powszechnem. Któż nie płakał nad grobem Manon Lescaut? Kto się nie wzruszał rozmową porucznika Glahna z psem Ezopem, gdy mu opowiadał o śmierci Ewy? Psychologja ma tu swoją fizjologję. Chodzi o to, aby ją dokładnie poznać. Rozkosze duchowe są wymierne. Muzyka to subtelny masaż wibracyjny najczulszych ośrodków nerwowych. Rozedrgana fala tajemnego medium fizykalnego komplikuje w cudowny sposób drgania eteru i tworzy kontakt duszy ze wszechświatem. Sekunda rozkoszy tego porządku wymaga wielkiego mnóstwa drgań, a gdy drgań jest za mało, pragnienie reaguje na ten niedostatek głębokim żalem. Niskim tonom towarzyszy poniżenie ciśnienia krwi, idzie się wolno, staje się, lub się nawet pada. W oktawach żalu, skruchy, wspomnień smutnych, krew krąży wolno, dusza poddaje się nacierającemu żalowi.

Ale gdy drgań przybywa, ruch staje się żywszy. Najpierw drgają żywiej fibromy, potem krwinki czerwone i białe, potem tkanki, komórki i sploty mięśni i nerwów. Tańczy serce i porywa za sobą nogi. W „Jardin des supplices“ Oktawiusza Mirbeau niskie tony dzwonu zabijają straszliwą udrękę. Dzwony kościelne nietylko zwołują na nabożeństwo, ale tworzą nabożeństwo w duszach, nastrajając je na tonacje i rytmy chorałów, w których alty i basy czuwają nad sopranami i tenorami, skłonnemi do swawoli i pląsów. Psychologja ma tu fizjologję, a fizjologja prowadzi do fizyki. Materjalizacja ducha, uduchowienie materji.

Poezja to melodja i rytm, mol i dur uczucia, larga i prestissima, staccata i glissanda. Rytm to sugestja, albo powiedzmy, jest to malutki cud, potwierdzający wiarę sentymentu. Czytelnik zna oktawy nastrojów i tonacje liryczne lub epiczne poszczególnych utworów, dysponuje się niemi na pożądane smutki i radoście, na tęsknoty i pragnienia. Oburzano się w swoim czasie na Jamesa za to, że w swoich głębokich analizach stanów uczucia religijnego powiedział, że podobne stany wywoływać można przy pomocy używek narkotycznych, eteru, gazu rozweselającego itd. Ale fakt jest faktem: Weib, Wein und Gesang (u Czechowa: liubow, wodka i zakuska) to trzy odwieczne stimulantia i sedativa zarazem.

Babilon, Rzym, Paryż, mają ustaloną w dziejach opinję Sodom i Gomor. Babilonja była nam obca i daleka, dopóki Delitzsch nie opowiedział nam o tych tabliczkach wypalanych, z których jedna utrwaliła dowód romansu pięknej Bibi z nieznanym bliżej kochankiem. Daleki, niepojęty Babilon stał się od razu zrozumiałym dla dzisiejszego człowieka dzięki właśnie tej Bibi. Przypadkowe, podrzędne, obojętne, zaciemnia i przesłania pewne rzeczywistości; powszechne i generalne objaśnia i tłumaczy. Poezją klasyczną może być jedynie poezja elementarna. Elementarna, naiwna prostota Verlaine'owskiego Greena jest nieśmiertelna:

„Voici des fruits, des fleurs, des feuilles et des branches
Et puis voici mon coeur, qui ne bat que pour vous...“

Albo owo Norwidowskie niedoczytane, niedomyślane, nieogarnięte jak żywioł i wiecznie świeże w nieokreślonej prostocie:

„Jak gdy kto w oczy ciśnie człowiekowi
Garścią fijołków i nic mu nie powie...
Jak gdy akacją zwolna zakołysze,
By woń, podobna jutrzennemu ranu,
Z kwiaty białemi na białe klawisze
Otworzonego padła portepianu...
Jak gdy osobie stojącej na ganku
Daleki księżyc wplata się we włosy...“

Jeśli poeta podświadomie powtarza słowa Stwórcy: „Uczyńmy sobie człowieka na obraz i podobieństwo nasze“, to zamierzony cel osiąga tylko przy pomocy tych elementów, które są istotą wszelkiego życia, protoplazmą duszy. O tem wszystkiem czytelnik wie, nietylko czytelnik genjalny, ale jako tako utalentowany, przeciętnie zdolny. Trzeba, aby się dowiedział i poeta i aby przestał wysilać się na sztukę sztuczną, która jest potwornością. Proste i łatwe jest zawsze najpiękniejsze. Poeta powinien tak pracować nad tematem, jak pracował Heine, aż wiersz trudny stał się elementarnie łatwym i prostym. Nie trzeba stwarzać trudności logicznych i powikłań składniowych, bo w słowie jest zagadek aż nadto.

Kto nam wytłumaczy, dlaczego ręka nazywa się ręką, dlaczego w czynności „nosić“, czołowe miejsce zajmuje nos, a czynność ogromnie cząstkowa nazywa się „*cało*waniem“? Rozumiemy onomatopeje i wiemy jako tako, co to jest kwakać, hukać, stukać, warczeć, wiać, ale wszystkie konwencjonalne symbole fonetyczne są zagadką nierozwiązalną. Mlaskaniem ust łatwo jest niemowlęciu wymówić pierwsze słowo, które jest imieniem: ma-ma. Ale co dalej? Czytelnik z nad książki podniósł głowę i spogląda w daleką przeszłość, ku pra-praojcom, gdy jeszcze mieszkali w kniejach leśnych i dopiero zaczynali uczyć się mówić. Świat był szeregiem onomatopej, a lasy rozbrzmiewały nieartу-

kułowanemi zdwojeniami naśladowczych krzyków. Bełkot dzisiejszego idioty byłby się wtedy wydał mową natchnionego wieszcza. Inteligentny czytelnik dzisiejszy wie, że genialny poeta to dzisiaj wyjątek, który stanie się kiedyś regułą. Dla tej wieszczby ucieleśnionej w poecie, ma się cześć dla jego sztuki i dlatego każdy grafoman wysilający się na małpowanie jest taki beznadziejnie żałosny i śmieszny, że aż budzi litość.

W dziejach całej przyrody, o ile je znamy, jest pewna linja rozwojowa. Idea doskonałości wyprzedza sprawę doskonalenia się wszystkiego. Znaczenie i pojęcie idei zostało już dawno dokładnie zdefinjowane przez Kanta. Ale teratogenja ma w całości kosmogenji swoje miejsce, jako paradoksalna reguła wyjątku. Artysta plastyk czy poeta, to dalszy ciąg natury. Dusza kosmosu wyraża się najistotniej w czynie talentu i genjuszu. Gdyby koty miały sztukę, to mogłoby się zdarzyć, że malowałyby „z natury“ wielkiego malarza, który zostałby słusznie uznany za naturę. Talent, to istotny dalszy ciąg tych praw i spraw fizykalnych, z których powstał cały nasz świat i człowiek. I pięknem jest właśnie to, co organicznie wyrasta z najistotniejszej materji świata. Odchylenia teratogeniczne, których tyle namnożyło się w sztuce dzisiejszej i w poezji, mogą przez chwilę bawić, a nawet olśniewać, ale ta siła filogeniczna, dzięki której fijołek nawet na bagnie zrodzony, dokonywa cudu chemicznego wiernem powtórzeniem kształtu, barwy i woni swego gatunku, dokona swego także w dziedzinie sztuki i poezji: potworki poezji popadną w zasłużone zapomnienie.

To są myśli czytelnika, powstające nad słowami, zdaniami, sztuką, poezją, wrażeniami i filozofjami. Czytelnik jest tworem milczącym, więc nikt nie wie o jego buntach i rewoltach przeciwko niedorzecznościom. Ale jego oko pada na wyraz i raptem budzi się uczucie niesmaku. Dlaczego np. „małżonek“? Co to jest? Mały i żonek. Przecież człowiek, określany tem mianem jakby na drwiny, musi być mocny, krzepki, niekiedy wielki, a więc raczej „wielżonek“, albo jeszcze lepiej „wielmąż“? A tymczasem istnieje dalej „małżonek“ i nie zanosi się nawet na to, aby jego miejsce zajął „małżon“, wydrwiony przez Lemańskiego w „Antyfonie“ i przez starego kawalera, Erazma z Rotterdamu, w „Pochwale głupoty“, nie mówiąc już o Hermanie Bahrze, który na żałosną postać „małżonka“ wylał całą butlę swego witrjolejowego sarkazmu.

O takich rzeczach rozmyśla czytelnik, nastrajający się poezją na doskonałość. Bo o nią właśnie chodzi. Wiedza jest snem o wszechwładzy, wszelkie zaś marzenie jest nietylko wolą mocy, ale snem o wszechmocy. Dlatego dziecko po wysłuchaniu bajki pyta z szeroko rozwartemi oczami, czy bajka jest prawdziwa. Wola prawdy i wola mocy to dwie postaci woli piękna, czyli doskonałości. Doskonałość zaś, jakby wiedziona przekornym kaprysem, odchyla się od harmonji ku dysonansowi, aby przygodnem, dowolnem załamaniem linji podkreślić tembardziej jej prostotę i obłość. Cudowny jest kaprys „niegramatyczności“ Słowackiego, czarujące jest jego pytanie: „Komu ty jedziesz?“ Pofolgował sobie i Puszkin, gdy w przygodnej dygresji sprowokował zatabaczonych krytyków: „Kak ust rumianych bez ułybki, — bez grammaticzeskoj oszibki ja ruskoj rieczi nie lublu...“

To są myśli czytelnikowe. Trzeba się zgodzić z Dębickim, że „cała średnia nasza produkcja literacka stoi poniżej zainteresowań inteligentnego czytelnika“. I tu rozpoczyna się tragedja. Źle bowiem jest z literaturą, jeżeli jej spożywcy mają zainteresowania szersze i wyższe od jej twórców“. To jest słowo trafne i mądre. Śmiem dodać, że prócz czytelnika inteligentnego istnieje czytelnik utalentowany, wysoce utalentowany i genjalny. Talent percepcyjny jest niezawodnie powszechniejszy od talentu twórczego, a między obiema postaciami talentu istnieją najróżniejsze pokrewieństwa, stosunki, różnice. Najrzadszy jest wypadek, gdy poeta, jak Mojżesz prowadzi czytelnika na Synaj wielkiego objawienia. Częściej staje się poeta mystagogiem wtajemniczającym w szczegóły czegoś, co się w całokształcie zna. Najczęściej, niestety, drobna perełka poezji gubi się w masie konwencjonalnych wyrazów i frazesów. Wielki poeta żyje zawsze zbyt krótko, aby mógł wypowiedzieć wszystko, co przyniósł z sobą, mystagog podobny bywa do wędrownego apostoła i w coraz nowych pieśniach głosi światu radosną nowinę swojej miłości, poeta konwencjonalny plagjuje samego siebie.

Wielkiego poetę czyta się często, a o wpływie słów jego można rzec to samo, co ewangelista rzekł o słowach pasterzy przy narodzeniu Jezusa: „Lecz Marja zachowywała wszystkie te słowa, uważając je w sercu swojem“. Słowa mystagoga przekonywują, pociągają, zmuszają, przekształcają świat w sercu człowieka. Konwencjonalny grafoman zabija nudą, gadulstwem, pokraczną sztucznością swej „sztuki“. O tem należy wiedzieć i z tem trzeba się liczyć. Grafomaństwo żeruje nietylko w przedpokojach i kuchniach literatury. Rozsiada się dufnie w jej salonach i zezuje w stronę fotela akademickiego. Bo u nas jedna kiepska książka to drwiny, pięć — to uznanie, dziesięć — to akademja.

Czytelnicy, jako spożywcy tak często przerastający umysłem i talentem twórców niektórych, powinni zabrać głos. Tua res agitur, czytelniku.

Paweł Hulka-Laskowski

KAT

Kat — to słowo niesamowite, warczące zgrzyta nad
[głowami —
On jest — ten człowiek nieznany nikomu,
Którego twarzy nie widział nikt.
W tłumie ulicznym chodzi między nami
Może ten, a może ten... przecież żyje, jak wszyscy,
[mieszka w jakimś domu...

Jesteśmy w wieku dwudziestym i kat nie chodzi w
[czerwonym rańtuchu
Ani nie ma na rękach splotów sinych żył.
I niema dzisiaj sklepionych głuchych piwnic,
W których po krwawej pracy ginęłby bez słuchu ——
Człowiek to, jak z nas każdy, nie żaden średnio-
[wieczny zbir.

I tylko dnie są, w których we fraku, rękawiczkach
[i czarnej masce

Staje z ofiarą twarzą w twarz — —
Przedstawiono skazańca prezydenta łasce
Ale prośbę odrzucił.. Wyrok wykona kat.

Jest jedna chwila, jedna chwila martwa,
Gdy słychać szelest szubienicznej pętli i bicie serca
Bicie dwojga serc — — —
Ta chwila rośnie, wydłuża się, trwa
Człowiek człowiekowi zadał śmierć! — —

I ta śmierć ich sprzęga...
Oczy bielmowe ukazały białka — — —
Kat skończył i w olbrzymiej ciszy
Ogłasza: wyrok wykonałem. Drugi już nie słyszy.

Wanda Jano-Kragen

NA MARGINESIE

Okazuje się, o czem czytelnicy „Głosu Prawdy" nie wiedzieli zapewne, że jestem człowiekiem niezmiernie potężnym. Miło mi wiadomością tą podzielić się z przyjaciółmi naszego pisma. Otóż mam (wedle artykułu p. K. Irzykowskiego p. t. „Wypaczenie Idei Żeromskiego' 'umieszczonym w 174 numerze „Robotnika") na własne swoje usługi swoją własną koterję.

Koterja moja ma niebylajakich sprzymierzeńców, całą bowiem podpisana na Orędzu Pisarzy Polskich w sprawie Akademji Polskiej Straż Piśmiennictwa Polskiego, oraz najlepsze nazwiska literackie od Askenazego poczynając, na Zawistowskim kończąc.

„Wierna, czynna i sprawna, jak knut w ręku kata" — koterja moja zniewoliła Straż Piśmiennictwa Polskiego, przeciągnęła na swoją stronę nawet w bastjonie Izbowców, t. j. w Redakcji Robotnika, głównego referenta literackiego p. Jana Dabrowskiego (który podpisał orędzie pisarzy, — Efjaltes Izby?!), zwyciężyła senatora socjalistycznego, A. Struga.

Pokonałem Struga, Sieroszewskiego, Tetmajera, Kraushara, złamałem moich nieprzyjaciół politycznych, jak Weyssenhoff, Roztworowski... Wszyscy, jak ich jest czterdziestu kilku (a nowe podpisy wciąż napływają) endecy, bezpartyjni, jedynkarze, socjaliści, — wszyscy drżą przed mą władzą. Takby to wyglądało z tonu kazuistycznych wynurzeń p. Irzykowskiego, który, jak przystało autorowi „Perfidji" woli przypuszczać podobne bzdurne brednie, — niż, że zdrowy rozum i poczucie odpowiedzialności wobec literatury skłoniło najwybitniejszych pisarzy polskich do opowiedzenia się za Akademją.

Nie odpowiadając na meritum moich wywodów, Irzykowski zasłania się autorytetem słów Żeromskiego. Uważam to za chwyt bardzo niezreczny: Mocny Boże! A gdyby tak p. Irzykowski otrzymał proponowaną przez siebie dla samego siebie nagrodę Nobla na rok 1928 nie w roku 1928 lecz w 1922-im i wyjechał z kraju w daleką podróż i gdyby dotąd jeszcze nie wrócił, zajęty polowaniem na lwy?!

W walce o Akademję Polską i Straż musielibyśmy powoływać się na jego, pełne potoczystych zapałów pro-strażackie i pro-akademickie poczynania. I nie mogłyby nam przyjść na myśl tak taniutkie i żałosne wykręty, że robiło się to (list Irzykowskiego w 27 nr. Wiadomości Literackich) „z zamiłowania filologicznego" czy też w charakterze namówionego przez Żeromskiego oponenta (Irzykowski, — jako Wallenrod?!).

Nie wiemy, coby dziś powiedział Żeromski, który w swych projektach organizatorskich nie może uchodzić za nieomylnego. Wiemy tylko, że pisarze Jego pokolenia, oraz talentem i zasługą najbliżsi Żeromskiego są właśnie za Akademją.

P. Irzykowski grozi (już po raz drugi w tych bojach homeryckich), iż na wypadek przegranej swej wystąpi z dziełem, czy z rewelacjami, które swego rodzaju klątwą napiętnują sprawę, wbrew woli Irzykowskiego doprowadzoną do szczęśliwego końca. Pierwszem takiem dziełem będzie z po za grobu dane wyjaśnienie Irzykowskiego w kwestji sporu Irzykowski-Brzozowski. Drugie dzieło — to będą właśnie materjały (skarga to straszna, jęk to ostatni) i zebrane artykuły z komentarzami Irzykowskiego i Izbowców przeciw Akademji.

Mam niepłonną nadzieję, że Akademja Polska oba te dzieła chętnie wyda, jako ciekawe przyczynki do obyczajowości polskiej w pierwszej połowie XX-go wieku oraz, jako pierwsze, wielce obiecujące próby p. Irzykowskiego, — jako humorysty.

⁂

W jednym z ostatnich numerów Wiadomości Literackich p. Słonimski w swej Kronice Tygodniowej gorszy się niezmiernie Projektem Rozporządzenia w Sprawie Akademji, rozsyłanym w druku do pisarzy polskich. Zgorszenie wynika ze złej, niedbałej stylizacji. Projektu, który zdaniem p. Słonimskiego podpisali poważni pisarze, jak Staff, Sieroszewski, Strug, Oppman i t. d.

P. Słonimski nieuważnie przegląda swoją pocztę. *Projektu Rozporządzenia nie podpisał, ani jeden z pisarzy polskich..* Pisarze podpisali t. zw. Orędzie, to znaczy list otwarty, podany do prasy. Projekt formułowano razem z komisją prawniczą, jako objekt dyskusji z miarodajnemi czynnikami, władzami, referentami itd. Jest to więc szkic, a raczej kawałek administracyjny, z którego wspólna praca prawników i pisarzy ma dopiero wyprowadzić brzmienie właściwego rozporządzenia.

Projekt rozsyłało się kolegom, jako druk (publicznie nigdzie nieogłoszony). Druk ów w tej właśnie formie typograficznej okazał się bowiem tańszym od przepisywania na maszynie, czy odbitek z roneo.

W ostatnim ustępie namiętnej filipiki p. Słonimskiego czytamy zdanie, które napełnia otuchą: Łatwo u nas o podpis, — trudniej o pracę.

W myśl powyższego przypuszczać chyba można, że p. Słonimski uważniej przeglądać będzie swoją pocztę, a może też z czasem stanie do rzetelnej pracy w życiu stowarzyszeniowem. W wielu sprawach będziemy mieli wówczas nietylko jego podpis, — lecz także pracę.

⁂

Józef Jedlicz i Henryk Zbierzchowski przyłączyli swe podpisy do podpisów pisarzy na Orędziu w sprawie Akademji Literatury. Z ogłoszonej w bieżącym numerze uchwały Wileńskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich wynika, że sprawa Akademji spotkała się w Wilnie z jednomyślnością.

Czeska „Reforma" wychodząca w Pradze Czeskiej poświęca Akademji Polskiej dłuższy artykuł, w którym

p. Dresler stawia za przykład usiłowania pisarzy polskich gwoli zdobycia dla literatury dachu nad głową (strecha na hlavou).

Juljusz Kaden-Bandrowski.

PLON KRAKOWSKI NA ZJEŹDZIE BIBLJOFILÓW

Tegoroczny III-ci z rzędu zjazd bibljofilów we Lwowie pozostawił trwałą pamiątkę uczestnikom w postaci kilkunastu druków bibljofilskich, druków wzorowych wydanych przez polskie towarzystwa bibljofilskie w Krakowie, Lublinie, Lwowie, Łodzi, Poznaniu, Toruniu, Warszawie, Wilnie, Zamościu. Najokazalej w tym roku prezentuje się prezent wydawnictw lwowskich, gdyż Lwów, goszcząc w tym roku zjazd miłośników książki z całej Polski, hojnie, jak na gospodarza przystało, obdarował swych gości wyjątkowo cennemi pracami i przyczynkami, ilustrującemi wymownie te karty z dziejów kultury lwowskiej, które pozostaną po wszystkie czasy ozdobione i znawstwem ksiąg i umiłowaniem płodów drukarstwa. Jeśli inne środowiska bibljofilskie skromniejszemi darami udział swój tegoroczny zaznaczyły w pracy nad wydawaniem własnemi środkami wzorowych druków, nie znaczy to bynajmniej, aby w wyborze utworów i doborze tematów nie zaznaczyły się pewne ogólne tendencje zainteresowań literackich naszych bibljofilów, jakie bezsprzecznie górują nad umiłowaniem estetyki samej druku, co najlepiej może wyjaśnić przykład ostatnich wydawnictw „Towarzystwa Miłośników Książki w Krakowie", istniejącego od r. 1922 i posiadającego już pokaźny dorobek 65-ciu wydawnictw osobnych (według katalogu z początku 1927 r.).

Z siedmiu wydawnictw, jakie wymienia druk p. t. „Kraków bibljotekarzom i bibljofilom obradującym we Lwowie 1928 r.", przedewszystkiem wyróżnia się tekst i podobizna autografu „Pani Twardowskiej" A. Mickiewicza, wydany przez J. Kallenbacha w ilości 500 numerowanych egzemplarzy. Wydawca we wstępie pisze: „Kto zada sobie rozkoszny trud porównania tekstu autografu z tekstem wydania pierwszego i następnych, ten może odczuje trochę żalu, że późniejsze „wygładzenie" autografu pozbawiło nas pierwotnej, arcymiłej przyprawy „wiwlasowej", mówiąc stylem korespondencji filomatycznej". Autograf ten również świadczy o tem, jak dalece liberalizm ówczesny Mickiewicza musiał zastosować się do wymagań cenzury, usuwając z ballady postać księdza w karczmie, zastępując ją — szewcem. Sześć kart reprodukujących pismo własnoręczne Mickiewicza z r. 1820 i reprodukcja tekstu ballady bez żadnej modernizacji pisowni daje przykład tego, w jakim kierunku powinna by pójść praca cała nad badaniem dorobku wieszcza, gdyby wszystkie jego autografy mogły się doczekać podobnego ogłoszenia drukiem, gdyż wydawnictwo „Pani Twardowskiej" w tej postaci jest wzorowem nietylko pod względem graficznym, ale i w sensie metodycznym, flologicznym. Bibljofile krakowscy zasłużyli się na polu studjów mickiewiczowskich, wydaniem dwóch jeszcze prac rękopiśmiennych niespodziankom, na jakie trafić jeszcze można w autografach Mickiewicza — A. Lewaka „Z nieznanych rękopisów A. Mickiewicza" i S. Pigonia „Ze studjów nad tekstem „Pana Tadeusza". Są to uzupełnione i powiększone przedruki z „Przeglądu Współczesnego" i „Silva Rerum", badaczom i miłośnikom poety pozwalające uzupełnić zbiory „mickiewiczianów" źródłowemi przyczynkami do twórczości, która pozostaje dotąd, niestety, w niemałej części w „rękopisach rozrzuconych po świecie niezarejestrowanych, niespisanych i nieopisanych dotychczas".

W 550 tylko egzemplarzach, z dedykacją „panu Franciszkowi Biesiadeckiemu, wielkiemu miłośnikowi książki, założycielowi czasopisma „Exlibris", ogłosił Mieczysław Opałek trzy szkice p. t. „Stare księgi, stare wina". Autor obszernego studjum o „Bibljopolach lwowskich" i biograf kilku pokoleń lwowskich antykwarzy Iglów („130 lat wśród książek") pod tytułem, zaczerpniętym ze strofki Or-ota o bukiniście z przed 1830 r.:

U Glücksberga dzieła modne;
„Kwentyn Durward", „Jan z Tęczyna";
Ale znawców tylko godne,
Stare księgi, stare wina.

— Kreślił dzieje antykwarni Gecla Salcsteina „w trzech pokoikach na pierwszem piętrze narożnego domu u zbiegu ulic Marjensztad i Źródłowej w Warszawie", wileńskiego antykwarza domokrążnego Szewla Kinkulkina, z opowiadań którego Władysław Syrokomla notował:

„Za Plautusa egzemplarz podarty i stary
„Pan Grodek mi zapłacił aż cztery talery"

i w takie rymy ujmował skargę i zwierzenia starego antykwarza ulicznego:

„Co staremu do tego, czy wilgoć, czy słota?
„Zalecam przechodzącym romans Walter-Skota.
„Egzemplarz niekompletny... cóż ja biedny zrobię?
„Pan Grodek gdzieś wyjechał, pan Mickiewicz w grobie.
„Pamiętam ich, pamiętam... ja żyłem z ich darów,
„Teraz już niema u mnie tak dobrych towarów"...

A o Lajbie Iglu pisze M. Opałek: „Zatopiony w lekturze zapominał o świecie. Mylił się każdy, kto sądził, że żyd w modlitewnej utonąwsęy ekstazie, wrósł duszą w Miszne lub Gemarę, święte księgi żydowskie—bo to była tylko... Bibljografja Estreichera". Opromienione poezją, postacie starych antykwarzy, doczekały się w drukach bibljofilskich przynajmniej należnych im wspomnień pozgonnych i może pewnej rehabilitacji w stosunku do pojęć, jakie z istotą handlu antykwarskiego kojarzą się w naszej wyobraźni, znającej kramy na Świętokrzyskiej.

Na życzenie krakowskiego Towarzystwa Miłośników Książki prof. S. Estreicher, syn bibljografa, ogłosił zbiór „Okruchów wierszowanych" ojca, wydany nakładem W. L. Anczyca w 350 egzemplarzach. K. Estreicher, jak stwierdza syn jego, mimo że nie było poetą i nigdy się za takiego nie poczytywał, pisywał w ciągu długich lat swego życia nadzwyczaj dużo wierszy, był bowiem naturą uczuciową, a pobudzone uczucie wymagało wyładowania się nazewnątrz w formie czasem poważnego, czasem humorystycznego, najczęściej satyrycznego wiersza. Nie obce były jego natchnieniu za młodu wiersze o mocnej nucie patryjotycznej („Błogosławieństwo na drogę zdrajcom" w r.1846), która brzmi i w wierszu, pisanym

we 20 lat później, „Do Słowian ucztujących w Warszawie" w odpowiedzi na obiadowy toast Mikołaja Berga, ale urok specjalny tych „okruchów" zbiega się z wyznaniem samego poety-bibljografa: „to tylko reminiscencja udziału w życiu małomiasteczkowem, nic więcej". Z tej atmosfery grodzkiej, z obserwacji „od lat czterdziestu z lunetą w ręku", czerpał natchnienie dla rymów K. Estreicher, pisząc o teatrze, o dziennikach i pismach satyrycznych, o sporach wśród młodzieży, o „ciasnej krytyce gadzinie przebrzydłej", o wszystkim potrosze w tym Krakowie, który

„W rynku ma A—B i C—D,
Kolonję książąt i biedę,
Ze rzymskich hrabin ornament,
Stary i Nowy Testament,
Brodatą izbę handlową,
„Casino" z germańską mową,
W resursie kwindecz do rana
I krakowianki... oj, dana!

Z za stosów okrutnych bibljograficznych dzieł nie „zwiędły bibljograf" uśmiecha się do nas w tych wierszach, lecz „ten co gwiazd przeżył pokoleń cztery, znawca z urzędu i sprawozdawca, co nie opuścił sztuki ni razu" i tak przemawia do nas z obrazu Wyczółkowskiego, który go przedstawił w loży, z afiszem „Wesela", z głową opartą na ręce w r. 1908.

Pozostałe cracowiana bibjofilskie to L. Finkla „Karol Szajnocha Bibljotekarzem", zeszyt IV „Prac bibljotecznych", K. Hałacińskiego „Ekslibrisy S. Jakubowskiego". Zdając obszerniej sprawę z rzeczy literackich, może wykazaliśmy, że wąska ścieżyna bibljofilstwa wije się wśród tych samych drzew, jakie okalają drogę szeroką wielkiej literatury naszej, i że zasługa w tem niemała bibljofilów krakowskich.

K. Zieleniewski.

Z NIWY POLONIKÓW

Pierwszy francuski tłumacz Mickiewicza.

Przypisywane dotąd Miaskowskiemu tłumaczenie „Konrada Wallenroda", wydane w Paryżu w 1830 r., okazuje się dziełem Francuza, filozofa i bibljofila, Burgaud des Marets, ur. w r. 1806, zmarłego w 1873. Ustala to Camille Beaulieu w monografji poświęconej literatowi i uczonemu, którego sympatje polonofilskie zaczerpnięte z krynicy poezji polskiej nie opuściły nigdy i w wieku podeszłym, ten znawca i miłośnik Mickiewicza potrafił recytować na pamięć w oryginale stronice całe poezyj mickiewiczowskich. Z rzadką dla cudzoziemca skromnością tak porównywał tłumaczenia swoje z oryginałem: „stłukłem ramiona boskiego posągu dłuta Praksytelesa, lecz rysy, jakie pozostały, mają piętno piękna nie z tego świata" W korespondencji z B. Jańskim ucieka się do słów polskich, aby jaknajwierniej myśli swe oddać. Sprawie polskiej emigracji udziela nieocenione usługi. Aczkolwiek tłumaczenie jego „Dziadów" spotkało się z surową krytyką Władysława Mickiewicza, czas, by i polscy badacze określili dokładnie rolę tej niezwykłej postaci polonofila, który nauczył się języka polskiego, obcował z kwiatem emigracji polskiej i łącząc sentyment z erudycją bronił spraw, które na ówczesnej arenie politycznej we Francji kłopotów obrońcom tylko przysparzały i długo jeszcze czekać musiały na inny wiatr od wschodu.

Tłumaczenia swoje ukrywał Burgaud des Marets pod zasłoną anonimu lub pseudonimu, w tej intencji, aby tylko imię Mickiewicza nabrało rozgłosu: „Nie zaniedbam w tym celu niczego, co nie byłoby uczciwem i pożytecznem. Nie mógłbym tego uczynić dla pracy, gdzie figurowałoby moje nazwisko. Chcę to uczynić — tylko dla Mickiewicza". Jakie owoce wydała tak pojęta propaganda? Czy Burgaud des Marets nie miał sojuszników wśród Francuzów? Ileż to pytań ciśnie się na marginesie monografji C. Beaulieu, na które odpowiedź będzie znacznie ułatwiona po cennem dla nas odkryciu autora tej monografji, wydanej w La Rochelle nakładem Rupella w bieżącym roku.

Wpływ Mickiewicza na poezję rumuńską.

W bukaresztеńskim „Instytucie południowo-wschodnio-europejskim" profesor Caracostea wygłosił odczyt p. t. „Wpływ Adama Mickiewicza na literaturę rumuńską w pierwszej połowie XIX wieku". Liczni uczeni rumuńscy, zapatrzeni jednostronnie w kulturę Francji i Zachodu Europy, zapominają nieraz, iż w dawniejszych czasach ta Zachodnia kultura docierała do księstw naddunajskich najczęściej pośrednio przez Polskę ościenną. Otóż prof. Caracostea odkrył, iż romantyzm dotarł do literatury rumuńskiej nie tyle wprost od Wiktora Hugo, Lamartina lub romantyków niemieckich, ile z Polski, przedewszystkiem przez Adama Mickiewicza, którego naśladował i tłumaczył poeta Jerzy Assaky, którego utwory z czwartego dziesiątka ubiegłego stulecia, przesiąknięte są wpływem Mickiewicza. Assaky napisał m. in. utwór naśladujący pierwszą część „Dziadów". Inny uczony rumuński profesor Duica zaznacza wpływ Mickiewicza na podniosłą „Pieśń o Rumunji" poety Alecu Russo. Ten ostatni bawił w Szwajcarji podczas wykładów Mickiewicza w Lozannie i tam prawdopodobnie zapoznał się z „Księgami Pielgrzymstwa Polskiego", które natchnęły go do napisania „Pieśni o Rumunji".

Stare związki polsko-rumuńskie dzięki tym badaniom występują w świetle coraz jaśniejszem i nić przewodnia wspólnych przeżyć w sferze poezji staje się jednym jeszcze, nowym łącznikiem narodów sąsiednich, nawiązujących w daleko szczęśliwszych warunkach bezpośrednią wymianę na polu literatury i nauki.

Muzyka polska w Paryżu.

Muzyka polska we Francji powoli, krok za krokiem zwraca na siebie uwagę, zdobywa uznanie. Figurując, oczywiście, w rubryce „słowiańskiej" zmuszona jest wywalczać sobie stanowisko i renomę niezależne obok muzyki rosyjskiej, która przed 30-tu blisko laty podbiła Paryż odrębnością swego stylu i do dziś dnia, rzec można, posiada we Francji kredyt nieograniczony.

Występy zdolnych polskich kompozytorów w stolicy nadsekwańskiej, którzy potrafią być au courant muzyki nowoczesnej, reprezentacyjne koncerty bądź w salonach ambasady polskiej, bądź w programach, uroczy-

stości polskich, wszystko to, nie wystarcza jeszcze, aby zwrócić bliższą uwagę na stan naszej artystycznej kultury, na to, że produkty naszej sztuki mogą posiadać własny styl narodowy polski, mogą mieć znaczenie nietylko indywidualne, lecz zbiorowe.

Żadne wysiłki propagandy urzędowej, żadna protekcja z góry nie może zadecydować o takim sukcesie w Paryżu. Indywidualność stylu musi być poparta ekspresją, siłą talentu. Młodzi muzycy polscy zrzeszeni w paryskiem „stowarzyszeniu" — Perkowski, Łabuński, Czapski, Sztompka, Wiechowicz — pracując usilnie nad sobą, nie zaniedbują jednocześnie propagandy muzyki polskiej. Występy takie, jak ostatnio koncert symfoniczny, złożony z utworów Tanzmana, Perkowskiego, Szymanowskiego, Morawskiego, którym prasa paryska zainteresowała się poważnie, to znaczy, że nie zbyła ogólnemi komplementami, lecz starała się naprawdę zwrócić uwagę na wartość i wypowiedzieć bez ogródki krytykę, obok naprawdę znacznej ilości koncertów artystów polskich (z których niektórzy, jak Z. Robowska, układają programy wyłącznie utworów polskich autorów) i imprez takich, jak odczyty H. Opieńskiego w Sorbonie z ilustracjami muzycznemi, wszystko to świadczy, że grunt dla energicznych wysiłków muzyków zdolnych i wykształconych jest podatny i że obserwator postronny może stawiać pewne prognozy o zbliżającym się momencie pełnego uznania muzyki polskiej w Paryżu, co zadecydowałoby o jej powodzeniu na całym Zachodzie.

Wspomnienia o Warszawie księcia Napoleona.

„Revue des deux mondes" drukuje ostatnio relację podróży księcia Napoleona, kuzyna Napoleona III, wysłanego z misją poufną w sprawach włoskich do cesarza Aleksandra II, który wówczas — w r. 1859 — bawił w Warszawie. Rosjanie robili wszystko, aby utrudnić krewnemu spadkobiercy idej napoleońskich kontakt z Polakami, ale książę Napoleon potrafił zręcznie przypomnieć i jednym, i drugim o dawnem polsko-francuskiem braterstwie broni, dekorując krzyżem komandorskim weterana wojn napoleońskich, pułkownika Łubieńskiego, którego wzruszyła do łez wizyta w tym celu adjutanta księcia.

tgl.

VARIA.

„Od Romain Rollanda do Maksyma Gorkiego".

Panait Istrati, który od dłuższego czasu przebywa w Rosji, ogłosił w prasie sowieckiej artykuł pod powyższym tytułem. W artykule opowiada wrażenia swoje podczas poznania Gorkiego i charakteryzuje różnicę pomiędzy Romain Rollandem a Gorkim. Opis obydwu, „mistrzów jego życia" dotyczy przedewszystkiem ich powierzchowności, wyrażającej najgłębszą treść wewnętrzną. Istrati oświadcza: pięć lat temu „stworzył" mnie pisarz R. Rolland .Szczęśliwy jestem, że zupełnie logicznie doprowadziły mnie moje kroki do ojczyzny człowieka, którego Rolland nazwał moim starszym bratem".

Oczywiście nie brak w tym pompatycznym artykule frazesu o Sowietach jako o awangardzie przyszłości, o wrogach i t. p. Najbardziej charakterystyczne jest zdanie Istratiego, według którego największym współczesnym pisarzem świata jest... Gorkij.

Największe wydawnictwo na świecie.

Niewątpliwie największą instytucją wydawniczą świata jest wydawnictwo państwowe Sowietów, w skrócie „Gosizdat". O ogromie działalności tej instytucji świadczy następująca cyfra: całkowita produkcja wydawnicza „Gosizdatu" wyniosła w roku ubiegłym około 100 miljonów egzemplarzy. Cyfra ta wynosi 60% całkowitej produkcji wszystkich wydawnictw sowieckich. Są bowiem jeszcze wydawnictwa prywatne i regjonalne (mniejszości narodowych). Ze 100 miljonów egzemplarzy przypada 60 miljonów na książki szkolne, reszta zaś w połowie na dzieła naukowe i beletrystykę.

W beletrystyce stoją na pierwszem miejscu wielcy pisarze rosyjscy z XIX-go wieku, po nich idą zbiorowe wydania klasyków niemieckich i t. d. Popyt na rynku książki jest dość wielki ze względu na przeszło 10-cioprocentowy wzrost umiejących czytać. Za carskich czasów było w Rosji 70% analfabetów, obecnie jest ich 60%.

Co do wysokości nakładów to ostatnie powieści autorów proletarjackich osiągnęły do 100.000 egzemplarzy (Gładkowa „Cement"). Również encyklopedja sowiecka (150 tomów) jak i dzieła zbiorowe Marksa liczą do stu tysiecy prenumeratorów. Różnych czasopism wydaje „Gosizdat" 1071.

„Gosizdat" jest wydawnictwem opartem na zasadach handlowych. Kalkulacja ceny książki przedstawia się następująco: książka, której koszt wynosi 1 rubel, kosztuje w sprzedaży 1,80 kop. Sortymencista płaci 1.20. Państwo zakupując większe partje książek dla bezpłatnego rozdawnictwa płaci taksamo.

Przy tem wszystkiem gospodarka „Gosizdatu" dała w rezultacie deficyt dochodzący do zawrotnej sumy 60 miljonów rubli. Niema jednak jak gospodarka sowiecka!

Sowiety a prawo autorskie.

Rozgardjasz panujący dotychczas w stosunkach wydawniczych pomiędzy Rosją a zagranicą skrupił się przeważnie na szeregu autorów, których dzieła przełożono na język rosyjski, nie pytając o pozwolenie i nie płacąc należnych honorarjów. W chaosie przekładowym tłumaczono i wydawano niejednokrotnie to samo dzieło w kilku przekładach jednocześnie. Zapoczątkowaniem nowej ery w stosunkach wydawniczych Rosji i zagranicy będzie rozporządzenie o reglamentacji przekładów i przymus meldowania o wszelkich przekładach dokonywanych przez wydawnictwa prywatne w Rosji. Wnet po tem ma nastąpić uregulowanie sprawy prawa autorskiego w Rosji. Niewątpliwie cały szereg pisarzy zagranicznych, wśród których poczesne miejsce zajmują pisarze polscy (S. Kaden-Bandrowski, W. Grubiński i inni), otrzyma należny ekwiwalent z tytułu przekładu ich dzieł.

ZAKOŃCZENIE KONFERENCJI W SPRAWIE PRAWA AUTORSKIEGO W RZYMIE.

Międzynarodowa konferencja dyplomatyczna w sprawie prawa autorskiego, która obradowała w Rzymie od 7-go maja zakończyła w ubiegłym tygodniu swe prace. Konferencja ta była od roku 1908, od czasu konferencji berlińskiej, pierwszą próbą międzynarodowego porozumienia w skomplikowanej sprawie prawa autorskiego. Do Rzymu przybyli przedstawiciele 60-ciu państw. Również Stany Zjednoczone przysłały swego obserwatora. Od początku dał się zauważyć zasadniczy podział delegatów na dwie grupy: krajów stojących na wysokim poziomie kulturalnym, niejako „eksportujących" i krajów na niższym stopniu. Pierwsza grupa domagała się jaknajskrupulatniejszej ochrony praw swych autorów, a druga starała się o możliwie najlepsze warunki przyswajania sobie niezbędnych wytworów wyższej kultury.

Toteż konferencja rzymska nie przyniosła zbyt wiele nowego. Termin wygaśnięcia praw autorskich pozostał bez zmiany. Podkreślić należy wzmocnienie odnośnego paragrafu konwencji berlińskiej, dotyczącego „droit moral" autora. Autor ma prawo czuwania nad tem by jego dzieło nie było używane do nieodpowiednich celów. Pozatem przyznano autorowi wszystkie prawa dotyczące rozpowszechniania jego utworów przez radjo. Dokładne określenie tych praw pozostawiono poszczególnym krajom.

Wreszcie konferencja postanowiła, że wszystkie poczynione zmiany wejdą w życie dopiero z dn. 31-go maja 1931 roku.

Właściwe więc znaczenie konferencji rzymskiej leży w fakcie zbliżenia kulturalnego powaśnionych narodów świata.

PO KONGRESIE P. E. N.-CLUBÓW W OSLO

Wywiad „Głosu Prawdy literackiego" z F. Goetlem.

Norwegja stała się w tym roku krajem jubileuszów, zjazdów i kongresów. Nie ucichły jeszcze echa uroczystości ibsenowskich, które zgromadziły pisarzy z całego świata, a już nowy kongres literacki zagościł w ojczyźnie Ibsena. Kongres P. E. N.-clubów w Oslo jest według opinji p. F. Goetla przełomową datą w dziejach rozwoju tej instytucji.

— *W czem mieści się doniosłość ostatniego zjazdu?*

— Kongres w Oslo wykazał, że organizacja pomyślana początkowo, jako instytucja towarzyska, stała się rzeczową platformą współpracy i współdziałania, nietylko dla literatów, ale i dla literatur całego świata. Zagadnienia praktyczne przekroczyły znacznie ramy zakreślone w pierwotnym projekcie organizacji. I tak np. w dziedzinie przekładów i wzajemnego poznawania się literatur świata otworzył ostatni kongres nowe, szerokie horyzonty. Nasz P. E. N.-club zabierze się do żmudnego dzieła przekładania naszych klasyków na języki obce. Będziemy tłumaczyli od Kochanowskiego do Wyspiańskiego. Przyniesie to niewątpliwie większy pożytek, jeśli literaci świata poznają naszą literaturę, niż jeżeliby kilka tysięcy egzemplarzy współczesnych rozeszło się po Europie.

— *Jak się ustosunkował kongres do delegacji polskiej i jej wniosków?*

— Najlepszym dowodem odpowiedniego stosunku kongresu do delegacji polskiej jest fakt, że do komisji, która będzie wydawała wielki biuletyn-organ P. E. N.-clubów wszedł po Angliku, Niemcu i Francuzie również przedstawiciel Polski. Wogóle kongres nie spodziewał się, że przyjedziemy z wnioskami. Matadorzy kongresowi ze zdziwieniem patrzyli na outsiderów, których wnioski przyjęte zostały większością głosów. I tak, przyjęto wniosek polski o nagrodzie literackiej Ligi Narodów. Pożądane byłoby, aby nasza reprezentacja w Lidze poparła ten wnosek w odpowiednim czasie. Przyjęto również wniosek o stworzenie biura tłomaczeń przy Centrali P. E. N.-clubów z poprawką, przenoszącą biuro z Londynu do Genewy. Poraz pierwszy na kongresie głosowano państwami. Pierwszy wniosek przeprowadziliśmy wbrew stanowisku delegatów francuskich Jules Romanisa i Cremieux, drugi przyjęty został jednomyślnie. Jedynie w sprawie miejsca dla kongresu w r. 1929, ponieśliśmy porażkę, albowiem następny kongres odbędzie się we Wiedniu.

W dyskusji najgorliwiej sekundowały Francji państwa mające animozję do Ligi Narodów (Węgry i Austrja). Nas popierali przez cały czas delegaci niemieccy, oraz wszystkie państwa słowiańskie. Podczas bankietu wspominał Däubler genjalnego Polaka Wyspiańskiego, którego poznał w czasach paryskich i z którym się przyjaźnił. Widać było, że P. E. N.-club polski jest po „asach" jak Anglja, Francja i Niemcy jednym z najmocniej zorganizowanych. Inne P. E. N.-cluby grupują tylko część literatów swego kraju, Italja wogóle nie otacza specjalną czułością swego P. E. N.-clubu, skoro odmówiła jego delegatom paszportów na wyjazd.

Mimo nieobecności czołowych reprezentantów literatury europejskiej pracował kongres w szybkiem tempie i zrobił bardzo wiele dla realizacji międzynarodowej współpracy literatur narodowych.

G.

DRAMAT O SIÓDMEJ

Ściemniało się. Zapalono latarnie. Po trotuarach spacerowali ludzie, przejeżdżały dorożki pełne wesołych osób. Był poniedziałek, trzeciego czerwca.

Z kamienicy na Alejach wychodzili do kinematografu córka dozorczyni Jadwiga i Stanisław Grzesik, ślusarz. Stojąc w sieni obiecywali matce panny, że niedługo powrócą. W tem usłyszeli z piętra kobiecy krzyk. Na dnie głosu z początku tkwiły słowa. Nikt ich jednak nie rozumiał. Po kilku sekundach krzyk przemienił się w wycie.

— Znów się biją, powiedziała dozorczyni.

Panna zadarła głowę. Otworzywszy wypukłe usta pilnie patrzała w górę. W oknach całej kamienicy pokazały się twarze. Student, który tu mieszkał od paru dni, wołał z piętra, że należy zawołać policję. Jakiś pan,

starszy, na parterze szamotał się z firanką, spadała mu przed oczy, odsuwał ją. Ślusarz, który się krzykiem przejął, bał się teraz, że te głosy obce oddzielą go, jakimś czasem od ulubionej, do której mu tak było spieszno, chwili, kiedy w ciemnej sali obok Jadwigi siadłszy, ręce jej ze swoimi dłońmi splącze.

Krzyk zmieniał się i zwężał. Stawał się coraz bardziej zdławiony, aż przeszedłszy w ton bardzo cienki ucichł zupełnie. Panna przez dłuższy moment nie spuszczała wzroku z okna.

— Już przestali, rzekła wreszcie. Grzesik odetchnął. Półokrągłym ruchem obrócił się ku bramie.

Lecz nie przestali. Znów ciszę przedarł krzyk. Słychać było wołanie, wyraźniejsze tym razem, choć niezrozumiałe. Twarze wróciły do okien. Krzyk trwał.

Z frontowych drzwi wybiegł student z piętra. Telefonował już na policję, żeby natychmiast przychodzili, że tutaj katują kobietę, zna ją.

Znał ją z widzenia, mieszkał tu od niedawna. Widywał ją, kiedy z przesadną śmiałością kroczyła przez podwórze. Innym razem przyglądali się sobie przez okno. Dziś nawet, kiedy rano wyszedłszy z domu, spotkał szczęśliwie w bramie listonosza z pieniędzmi na pierwszy, widzieli się jeszcze.

Teraz biegł do bramy, tam spotkał policjanta. Zawrócił i stanąwszy na środku podwórza, wołał:

— Panie posterunkowy, to tutaj!

Policjant poszedł powoli we wskazanym kierunku. Za nim biegła panna, za nią jej matka i ślusarz. Student wycierał chustką twarz spoconą i chudą.

Szli wszyscy w stęchłym zaduchu po kuchennych schodach . Na górze głos męski i tubalny, przerywany czkawką dowodził:

— Nie chcesz to nie, zdychaj cholero, ja na ciebie pracować nie będę.

Głos brzmiał z mieszkania na trzeciem piętrze. Drzwi wprost z korytarza otwarte były naoścież. Pierwszy wszedł, czy raczej stanął na progu policjant, za nim tłoczyła się reszta. Wspinając się na palcach zaglądali do wnętrza pokoju jedni przez drugich.

Ujrzeli tam troje ludzi, jedną kobietę i dwoje mężczyzn. Ją, mieszkającą w tym domu, Anne Nowacką, znano najlepiej, z wyglądu i głosu, którym do wieczornych przemawiała przechodniów. Obcych, a nawet lokatorów kamienicy. Jego, Antoniego Rajchera, widywano równie często, przychodził do niej sam, albo z innymi. Nie był jej, ani bratem, ani swatem. Wiadomo zresztą kto do takiej chodzi. Trzeci, Czesław Zimny, młody facet także z kompanji Rajchera.

Siedzieli teraz, Nowacka na łóżku, czy zawalonej kołdrą i poduszkami otomanie, dwaj panowie na krzesłach. Rajcher, bardziej pijany przy stole, Zimny, pod ścianą. Kiedy wszedł posterunkowy, Zimny wstał żwawo. Posterunkiwy posunął się na środek pokoju i zawował:

— Co się tu działo!

Milczeli. Nowacka płakała dalej. Policjant spojrzał na nią, poczem oparłszy na stole opiętą w chromową rękawiczkę pięść, obrócił korpus w stronę Zimnego.

— Co się tu działo, powtórzył, zapytuję przez władzę?

Zimny odpowiadał niechętnie, nic się nie działo takiego, tamci się pobili, on nic nie wie, bo tylko patrzał. Kobieta płakała coraz głośniej. Rajcher milczał.. Odezwała się wreszcie dozorczyni, że zna kobietę, Nowacką Annę, mieszkającą w tym domu, przychodzą do niej różni, ten (pokazała na Rajchera) przychodził do niej dawniej częściej, teraz rzadziej, pewnie jest jej opiekunem, albo przyjacielem.

Posterunkowy badał opiekuna, okazało się, że widzi go nie poraz pierwszy. Znał go z komisarjatu. Jakaś kradzież, awantura w nocy, czy pobicie, w każdym razie nic grubszego.

— Biłeś ją, pytał posterunkowy i trącał go w ramię nieopartej o stół ręki. Ręka za każdym razem podrygiwała wzdłuż, śmiesznie i tanecznie. Rajcher cały korpus w tył przechyliwszy, spojrzał poraz pierwszy uważnie.

— A nie słucha się, odrzekł powoli. Poczem rozwalił na stole ramiona, na nich ułożył głowę. Wydawało się, że zasypia. Rzężał. Spał.

Wysunął się wtedy na środek pokoju Zimny.

Przy drzwiach stali student, dozorczyni i przytuleni do siebie ślusarz i przerażona panna.

Zimny podszedł do Rajchera. Kolega spał. Wtedy spiesznie usiadł obok Nowackiej na otomanie, schwyciwszy jej dłonie w swoje ręce, zaczął mówić prędko i gwałtownie, przyczem jego twarz tłusta i spuchnięta stawała się coraz bardziej czerwona.

Okazało się z tego opowiadania, że Nowacka poznała Rajchera przed rokiem na ulicy przypadkiem. Nowacka była wtedy szwaczką, pozatem miewała przyjaciół. Nie gości, podkreślał Zimny, lecz przyjaciół. Skończyło się z niemi, kiedy Rajcher, który różne nie trwałe jednak i nie stałe, miewał zarobki, do niej się przeniósł. Zamieszkał u Nowackiej w tydzień po poznaniu. Z początku wszystko szło dobrze. Chodzili wszędzie razem do kin i knajp. Miłość.

Jadwiga odsunęła się przerażona, ślusarza poznała także na ulicy.

Nowacka uwolniwszy jedną rękę, odgarnęła z nad oczu mokre włosy, przyczem zaczęła wycierać rękawem od bluzki brudne lico. Widząc, że Rajcher zasnął i płacz jej nie będzie go więcej wzruszał, przestała płakać. Wargi jej bardzo czerwone drżały jeszcze. Poniżej ust widać było plamę od ołówka karminową i długą.

Student słuchając opowiadań, poruszał głową, jakby chciał przytakiwać tym poraz pierwszy przez siebie słyszanym historjom. Nie spuszczał na chwilę wzroku z warg Nowackiej, oddech jego stawał się coraz szybszy. Pijany spał.

Zimny mówił dalej. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że się coś psuć zaczęło. Rajcher latał za inną, tej innej nie dostał, bo wyjechała. Mieszkał jednak u Nowackiej dalej. Znikał, wtedy rozpaczała. Wracał znowu, lecz kiedy mógł, uciekał. Z dnia na dzień, bez przyczyny, czy raczej dla tej jednej, że miał pieniądze i od niej brać nie potrzebował. Bić się właśnie zaczęli o te pieniądze, z początku nawet dawała mu je sama, skąd miała, niewiadomo. Potem kiedy ciągle pieniądze zabierał i na to tylko przychodził, zbuntowała się. Nie chciała mu więcej dawać.

Wyrwała ręce z lepkich objęć, których nie czuła, i wrzasnęła:

— Chodzić na ulicę dla niego nie będę, nie będę, ostatnie powtarzała słowa coraz mniej wyraźnie, płacz głośniejszy przerywał jej mowę.

Facet przysunął się jeszcze bliżej, objął ją za ramiona i przyciskał. Tymczasem Rajcher się budził, przeciągał się, patrzał mętnym wzrokiem, wreszcie zatrzymał oko na posterunkowym, oglądał go uważnie. Zbliżali się wszyscy do stołu. Zimny wstał z otomany.

Policjant rozgniewał się mętnym wzrokiem.

— Biłeś ją, gadaj! trząsał pijanego za ramię. Biłeś?

— Wstydziłaby się pani, powiedziała dozorczyni, Jadwiga, wynoś się stąd!

Jadwiga nie ruszyła się z miejsca.

Posterunkowy chwycił przyjaciela pod szyją za kołnierz i krawatkę.

— Władza pyta, biłeś ją pan, czy nie?

Rajcher oparłszy z trudem o stół ręce wstał. Odetchnął szeroko, poczem rzekł:

— Czemu za mną łazi, odczepić się od nie nie można, westchnął i z pogardliwym uśmiechem dodał powoli i wyraźnie, tak jest zawsze, kiedy się kobieta do kogo przyczepi!

Skończył i nie oglądając, skierował się w stronę drzwi, za nim poszedł policjant. Kiedy już znikli, kobieta przyskoczyła do Zimnego. Profil jej chudy odcinał się twardo na tle niebieskawej ściany. Przysunąwszy twarz do samej twarzy faceta, krzyknęła.

— A ty tu czego czekasz, sam go do knajpy wyciąga i namawia. Myślisz, że jak mi jeden kości połamie, to sobie drugiego znajdę, właśnie ciebie?

Podniósł ręce, z przerażonych ust nie mógł dobyć głosu. Pchnęła go zresztą.

— Łasił się jeszcze będzie, żebym ci więcej nie powiedziała!

Nie czekał, że mu więcej powie, wyszedł. Za nim szli naprzód matka, potem ślusarz i panna. Korzystając z tego, że nikogo za niemi nie było, objęli się ciasno, trąc się lubo twardemi bokami.

Na górze został student, zbliżyła się. Patrzyli na siebie. W pokoju było bardzo szaro. Duszny wiatr szedł od okna.

Uśmiechnęła się sztucznie. Dotknął jej ręki, była gorąca i spocona. Przychyliła się nad nim.

— No, powiedziała szeptem, co się pan na mnie tak patrzy, jak na ostatnią?

Nie patrzył, jak na ostatnią, miała być jego pierwszą.

Przytuliła się. Mokre wargi całując otwierały usta studenta. Serce biło mu coraz silniej, podchodziło pod gardło. Tamowało oddech. Obejmował go mdły i nieznany zapach. Przed zamkniętemi oczyma tańczyły coraz wolniej czerwone centki. Tracił prawie przytomność.

A wtedy jedna z rąk Nowackiej, które dotąd przyciskały tak silnie szturmujący ciężar, przesunęła się prędko pod kurtkę na piersiach, i palce jej nie drżące, wyciągały z kieszeni, dzisiejsze poranne banknoty.

Nie spotrzegł tego, nie widział, a nawet potem klęczał koło otomany, całował jej ręce, szeptał słowa, których nie rozumiał, a ona dosłyszeć nie moga.

Kazała mu iść, i ona iść musi na miasto jeszcze, wróci pewnie za chwilę, niech on już idzie, niech idzie zaraz.

Schodził po schodach, jak po chmurach, przyciskał ręce do warg, przyciskał ręce do piersi, w piersiach płonął ogień, na wargach palił się płomień.

Zapadła noc. Przesuwał się księżyc. Szedł coraz zimniejszy wiatr. Wracali z kina Grzesik i panna. Przed domem spotkali Nowacką. Milcząc zniknęli w bramie.

Czekała na Rajchera.

Teraz, jak wróci to zostanie, długo zostanie, aby wrócił, aby wrócił.

K. Briesen.

NAD KSIĄŻKĄ

(Zofja Rościszewska: „Wstęgi". — Warszawa 1928. Nakładem księgarni F. Hoesicka).

Poezja Rościszewskiej nie jest uniwersalistyczna. Jej „Wstęgi" obejmują stosunkowo szczupły zakres poetyckich i ludzkich doznań. Motywy erotyczne, wspomnienia dzieciństwa, fragmenty przyrody żywej stanowią w przeważnej mierze treść tego pokaźnego zresztą zbiorku. Twórczość Rościszewskiej ma jednak wielką zaletę: jest nią prawdziwa poezja. Autorka nie jest debiutantką. W roku 1917 wydała w Kijowie zbiorek p. t. „Loty Dusz". Była wtedy wierną towarzyszką „górnych i chmurnych" wzlotów Młodej Polski. Zapowiedziała się już wtedy jako talent samorodny i twórczy, umiejący poszukiwać własnego poetyckiego kształtu. O jej kulturze literackiej dobrze zaświadczyły „Przekłady" z francuskich poetów modernistów zwłaszcza Verlaine'a.

Dziś talent Rościszewskiej skrystalizował się. „Wstęgi" są strumieniem czystego liryzmu. W dusznym oparze współczesnej produkcji poetyckiej z kart tej książki wieje jakby zapach świeżej zieleni ogrodu, skropionego letnim deszczem. Słowa Rościszewskiej są świeże jak pąki drzew; uczucia nawet bolesne i smutne przełamują się pełnią życia w oryginalnej, łamanej rytmice jej wierszy.

Pogląd na świat autorki zarysuje się wyraźnie w wierszach takich jak „Stare powozy", „Mapa", „Żydzi". Jest to spojrzenie na rzeczywistość tych których kraj dzieciństwa został po tamtej stronie granicy, a których pełnia i radość życia wyrastały z czarnoziemu cudzej pracy. Wiemy również, że bolesna dla poetki granica określiła jednocześnie granice niepodległej Polski. W tych momentach nie chcemy współczuć z autorką chociaż zniewala nas ona kobiecą siłą uczucia i artyzmu. A jednak jest to chyba piękne rozgrzeszenie.

(Roman Brandstaetter: „Jarzma". — Gebethner i Wolff. Warszawa).

„Jarzma" Brandstaettera są jakgdyby współczesną „pochwałą" życia wiejskiego i pracy na roli. Mozolnie wyszukaną polszczyzną stara się autor przedstawić ciężki wysiłek ludzi i zwierząt w owocnem zmaganiu z płodorodną Demeter—Ziemią. W wierszach Brandstaettera dźwięczy nuta sielskich poezyj Jana z Czarnolasu oraz „rolniczych" poematów pseudoklasycznych.

Dbałość o prostotę formy, o czystość języka i jędrność stylu jest dodatnią stroną poetyckiego wysiłku Brandstaettera ale... nie bez zastrzeżeń. Prostota jeśli jest zbyt moralnie wypracowana może czynić wrażenie ciężkiego baroku. Przeładowywanie utworów współczesnych słowami staropolskiemi jest pracą conajmniej zbyteczną. Słuszną jest rzeczą zasilać i ożywiać język wyrazami staremi, gwarowemi czy prowincjonalizmami, ale nie należy zapominać o języku współczesnym, chyba, że się świadomie i konsekwentnie stylizuje.

Brandstaetter zdaje się właśnie oscylować między stylizacją w duchu poezji pseudoklasycznej a rodzącą się formą współczesności.

Truizmem jest opinja, że twórczość poetycka nie może być tylko improwizacją spływającą na skrzydłach natchnienia lecz, że wymaga ona żmudnej pracy nad ostatecznem ukształtowaniem artystycznego tworu. Ale banalną w słuszności swojej będzie również prawda, że wysiłek i praca poety powinny pozostać jego tajemnicą, t. j. nie ujawniać się w dziele, gdyż przecież nie o pracę poetycką chodzi ale o dobry jej wynik. Wysiłek twórczy autora „Jarzm" zbyt daje się odczuć w jego wierszach, to też czynią one wrażenie grubych „glonów", które nie łatwo jest przełknąć.

Zresztą nie wszystkie wiersze Brandstaettera są równe. Za dobre uważałbym m. in. „Spoczynek", „Zagrodę", „Naftę", — chybionym zupełnie jest wiersz o Włodzimierzu Koniecznym.

mit.

(M. Czerkawska: „Zielony cień". — Kraków 1928. Krakowska Spółka Wydawnicza).

Zbiorek wierszy M. Czerkawskiej jest istotnie pełen świeżej zieloności leśnej. Nie chodzi tu broń Boże o niedojrzałość twórczą. Przeciwnie: opanowanie niewyszukanej formy, do którego Czerkawska doszła zdaje się już kilka lat temu, cechuje i ten zbiorek. Niema tu jakiejś nowej techniki, ani nawet własnego, swoistego języka, trafiają się też i banalności; niema także modnych metafor i wysilonych porównań — jest natomiast prostota i ujmujące serdeczne umiłowanie opiewanego przedmiotu, t. j. lasu. Drzewa tego lasu M. Czerkawska „uczłowiecza", charakteryzując je zresztą dość dowolnie. Zbiorek nie zawiera wierszy silnych, ani rewelacyjnych, ale nie zawiera też złych. Naprawdę dobry i mocniejszy od innych jest utwór p. t. „Sosna".

Charakterystyczną cechą tomiku, jest tak rzadko spotykana dziś u poetów jednolitość tematowa, oraz usunięcie się czy ukrycie się autorki poza temat. Gdyby z okazji recenzji jednego tomiku poezyj można było wróżyć przyszłość autora, to M. Czerkawskiej nie możnaby przepowiadać bujnych i dalekich horyzontów rozwojowych. Ale doprawdy — miło jest wypocząć w delikatnie naświetlonym słońcem „zielonym cieniu" jej poezji. I dlatego, taka, jak jest dziś, jest M. Czerkawska poetką pożyteczną.

(Helena Rudzińska: „Liście". Ze słowem wstępnem Józefa Jankowskiego. Skład główny: Dom Książki Polskiej).

Pełna niedzisiejszej kurtuazji przedmowa Józefa Jankowskiego nie może uratować tego tomiku. Jedynie pewien poziom kulturalny i brak rażących błędów stylistycznych nie pozwala lakonicznie zaklasyfikować „prozy poetyckiej" p. Rudzińskiej do produkcyj typowo grafomańskich. „Liście" mogłyby być okrasą jakiejś sentymentalnej korespondencji osobistej, ale drukowanie takich banalnych „kawałków" jest wprost marnotrawstwem w tych ciężkich dla literatury czasach.

tn

ODPOWIEDZI GŁOSU PRAWDY LITERACKIEGO

Stefan Th. Płock: Nie, nie. Niedobrze. Może powieść będzie lepsza. Radzimy jednak na razie rzucić to wszystko i sposobić się do egzaminu. Na samą myśl o takim egzaminie włosy nam dęba stają ze strachu: A więc rzucić wszystko, by nie stracić roku. Nie można!

St. Pom: Więc przeniósł się Pan do Lwowa? Wydrukujemy małe wiersze o ranku i o uliczce. Kasztan prosi się o się o lepsze ujęcie. Tamte wiersze liche.

Kazimiera B.: Wedle naszego zdania, bez szkody dla siebie, dla literatury, dla Narodu, dla Państwa, dla świata, dla postępu, dla kultury — może Pani porzucić poezję i wierszy nie pisać.

Sochaczew, skrzynka pocztowa 70. Rzeczy tych nie można popierać tak, jak Pan to sobie wyobraża. Czyż chce Pan, byśmy mu szukali wydawcy. Ależ, Zacny Kolego, każdy pisarz szuka sobie sam swego wydawcę, tak, jak każda mucha znajdzie sobie wkońcu sama pająka, który ją pożre. Nie może Pan żądać od nas, byśmy Mu sami przygotowywali najczarniejszą godzinę Jego życia!!!

Kaz. Lach. Lwów: Czy jest Pan wkońcu przeciwnikiem osobnym przedziałów damskich w wagonach kolejowych? Uważamy, że niesłusznie. Cóż to Panu szkodzi, że w przedziale tym siedziały tylko jakaś zakonnica i staruszka? Zresztą sam Pan wspomina, że wy inni razem z tą jakąś garsonką bawiliście się doskonale w natłoczonym przedziale „dla wszystkich". O cóż Panu chodzi? Zabawę tę zawdzięczacie właśnie przedziałowi dla kobiet. Gdyby nie ów przedział nie byłoby tłoku. Gdyby nie było tłoku, nie bawilibyście się tak dobrze, — gałgany!

Ostatni Romantyk, — o ile przypominamy sobie nie przypadł nam do gustu. Odpowiadaliśmy w swoim czasie, przeoczył Pan odpowiedź. Rękopisów nie zwracamy.

I-i Toruń: Poranek wydrukujemy, w nadziei, że zachęci to Pana do rzeczywistej pracy nad sobą. Złocienie, — banalne w treści i w formie.

Maryla Mar. Łuniniec: Bardzo dziękujemy, wydrukujemy! Uwagi nader słuszne, i zgroza bierze, że nikomu nie przyszło to na myśl. Prosimy, o ile ma Pani jeszcze inne kwestje z tego samego zakresu literacko-szkolnego nie zapominać o nas.

Wacław Mak. Grodno: Cały tom, nie możemy przeczytać tak prędko, prosimy o dwa, trzy tygodnie cierpliwości.

REDAKTOR I WYDAWCA: *WOJCIECH STPICZYŃSKI*

Drukarnia „Literacka", N.-Świat 22. Przesyłka poczt. opłacona ryczałtem.